

Philip

Roth

Upokorzenie



CZY
TEL
NIK

Philip

Roth

Upokorzenie

Przełożyła Jolanta Kozak



Czytelnik | Warszawa 2011

Dla J.T.

1. W NICOSĆ

Utracił swoją magię. Wypalił się. Wcześniej nigdy nie zawiódł w teatrze, wszystko, co robił, miało się i przynosiło sukces, i nagle stała się rzecz straszna: już nie mógł grać. Wyjście na scenę stało się udręką. Zamiast pewności, że będzie świetny, miał pewność, że położy rolę. Tak się zdarzyło trzy razy z rzędu; ostatnim razem nikt się już nawet nie zainteresował. Nikt nie przyszedł. Utracił kontakt z publicznością. Jego talent był martwy.

Oczywiście, kiedy raz się go miało, na zawsze pozostanie człowiekowi to coś, czego nie ma nikt inny. Zawsze będę inny niż wszyscy, powtarzał sobie Axler, ponieważ jestem sobą. Noszę w sobie to coś, co publiczność zawsze będzie pamiętać. Ale jego dawna aura, wszystkie te manieryzmy, ekscentryczności, zagrywki, które tak znakomicie służyły postaciom Falstaffa, Peera Gynta czy Wujaszka Wani – które Simonowi Axlerowi zyskały sławę ostatniego z wielkich klasycznych amerykańskich aktorów

teatralnych – teraz już nie działały w żadnej roli. To, co kiedyś czyniło go sobą, teraz czyniło go błaznem. Był świadom każdej chwili na scenie w najprzykrzejszy możliwy sposób. Dawniej, grając, nie myślał o niczym. Wszystko, co robił dobrze, robił instynktownie. Teraz myślał o wszystkim, a to zabijało wszelką spontaniczność, wszelki żywioł – usiłował je kontrolować myśleniem, a myślenie je niszczyło. No dobra, mówił sobie Axler, mam gorszy okres. Przekroczyłem sześćdziesiątkę, ale wszystko się jeszcze może odwrócić, póki człowiek zachował jaki taki wygląd. Nie byłby pierwszym aktorem, któremu przytrafił się kryzys. Wielu przez to przeszło. Nawet mnie samemu już się zdarzało, pocieszał się, więc jakoś się wybrnie z impasu. Jeszcze nie wiem jak, tym razem, ale znajdę sposób – to przejdzie.

Nie przeszło. Nie mógł grać. Jak on dawniej przykuwał uwagę na scenie! A teraz – drżał przed każdym spektaklem, bał się go przez cały dzień. Od rana do wieczora dręczyły go myśli, jakich nigdy w życiu nie zaznał przed występem: nie umiem, nie dam rady, jestem źle obsadzony, zgrywam się, fałszuję, nie mam pomysłu nawet na pierwszą kwestię. Długie godziny między rankiem a wieczorem próbował zabić wykonywaniem dziesiątek pozornie niezbędnych czynności: muszę spojrzeć jeszcze raz na ten monolog, muszę poleżeć, muszę się pogimnastykować, muszę jeszcze raz rzucić okiem na ten monolog,

tak że zanim dotarł do teatru, już był wycieńczony. I przerażony perspektywą wyjścia na scenę. Nasłuchiwał coraz bliższego gongu i wiedział, że da plamę. Czekał na wolność rozpoczęcia, na ten moment urealnienia się, zapomnienia, kim jest, i stania się postacią, ale nic z tego – tkwił na scenie sztywny i pusty, grając jak ktoś, kto nie wie, co ma robić. Nie szło mu ani z rozmachem, ani powściągliwie, nie miał elastyczności, nie miał rezerw. Gra stała się cwieczornym ćwiczeniem sztuki uników.

Zaczęło się od ludzi, którzy do niego mówili. Miał trzy, najwyżej cztery lata, a już olśniewał go fakt, że może mówić i że inni są w stanie mówić do niego. Od zawsze czuł się postacią w sztuce. Intensywnością słuchania, koncentracją, potrafił operować tak, jak pomniejsi aktorzy fajerwerkami. Posiadał ten magiczny dar również poza sceną; zwłaszcza za młodu stosował go wobec kobiet, które żyły w nieświadomości, że noszą w sobie jakąkolwiek historię, dopóki właśnie on nie odkrył przed nimi, że mają i historię, i głos, i niepowtarzalny styl. Przy Axlerze stawały się aktorkami, bohaterkami własnego życia. Niewielu artystów sceny umiało tak mówić i słuchać jak Axler – tylko że on też już tego nie potrafił. Teraz dźwięk, który wpadał mu do ucha, natychmiast wypadał drugim, a każde wyartykułowane słowo zdawało się wyrecytowane, a nie wymówione. Właściwym źródłem jego gry było zawsze to, co słyszał,

istotą gry była odpowiedź na rzecz usłyszaną, więc skoro stracił dar słuchania, skoro stracił słuch, to nie miał już skąd czerpać.

Zaproponowano mu role Prospera i Makbeta w Centrum Kennedy'ego – trudno sobie wymarzyć bardziej ambitny podwójny angaż – i obydwie role położył, Makbeta zwłaszcza. Już nie umiał grać ani Szekspira komicznego, ani Szekspira tragicznego – a przecież grał Szekspira przez całe życie. Jego Makbet był żenujący, co potwierdzali wszyscy, którzy go widzieli, i wielu z tych, co nie widzieli. „Nawet nie muszą cię oglądać – narzekał – żeby cię mieszać z błotem”. Niejeden aktor sięgnąłby po kieliszek dla kurażu – jak w tym starym dowcipie: pewien aktor musiał sobie zawsze golnąć przed wyjściem na scenę, a gdy mu powiedzieli, że koniec z piciem, przeraził się: „No jak to? Miałbym tam wyjść całkiem sam?”. Ale Axler nie miał pociągu do alkoholu, więc się załamał. Załamał się totalnie.

Najgorsze, że był w pełni świadom swojego załamania, tak samo jak świadom był grania. Cierpiał straszliwie, a jednocześnie wątpił w autentyczność cierpienia, co czyniło je jeszcze dotkliwszym. Nie wiedział, jak dożyje następnej minuty, miał poczucie, że mózg mu się roztapia, panicznie bał się zostawać sam, sypiał po dwie, trzy godziny na dobę, prawie że nie jadł, codziennie myślał, żeby zastrzelić się na strychu – miał strzelbę, remingtona 870, trzymał ją w swoim odlud-

nym domu na wsi dla samoobrony – a mimo to zdawało mu się, że to wszystko rola, jakaś kiepska rola. Gdy gra się postać z rozstrojem nerwowym, jest w tym jakaś organizacja, jakiś porządek; gdy obserwuje się własny rozstrój nerwowy i odgrywa własny upadek, jest to podszyte trwogą i lękiem.

Nie potrafił przekonać sam siebie, że zwariował, tak jak nie potrafił przekonać ani siebie, ani nikogo innego, że jest Prosperem czy Makbetem. Wariatem też był udawanym. Jedyną rolą, jaką jeszcze umiał grać, była rola kogoś, kto gra rolę. Zdrowy grający wariata. Zrównoważony grający neurotyka. Opanowany grający nieopanowanego. Zawodowiec z dorobkiem i sławą sceniczną – krzepki wielkolud, sześć stóp cztery cale wzrostu, o dużej łysej głowie i mocnym, owłosionym ciele zabijaki, o twarzy, która jakże wiele umiała wyrazić, z masywną szczęką, surowym spojrzeniem ciemnych oczu i wydatnymi ustami, zdolnymi do wszelkich grymasów, o niskim, władczym głosie, dobywającym się z głębi trzewi i zawsze nieco warkliwym, męczyzna świadomie wyniosły, który sprawiał wrażenie gotowego na wszystko i zdolnego wypełnić wszystkie męskie role, wcielenie niewzruszonego twardziela, w którym skupił się cały egoizm budzącego ufność olbrzyma – grający skrajnego nieudacznika. Wrzeszczał w głos, kiedy budził się w nocy i stwierdzał, że wciąż tkwi uwięziony w roli człowieka pozbawionego osobowości, ta-

lentu i miejsca na świecie, w roli obmierzłego typa stanowiącego inwentarz własnych ułomności. Rano godzinami dekował się w łóżku, ale zamiast chować się w ten sposób przed rolą, właśnie dalej ją odgrywał. A kiedy w końcu wstawał, myślał wyłącznie o popełnieniu samobójstwa, i to nie na niby. Facet, który chce żyć, grający faceta, który chce umrzeć.

I nie potrafił się uwolnić od słynnej kwestii Prospera, może dlatego, że sam ją tak niedawno mordował. Kwestia ta rozbrzmiewała mu w głowie tak regularnie, że wkrótce stała się pustą sekwencją złowieszczych dźwięków, które straciły znaczenie w odniesieniu do rzeczywistości, za to nabyły mocy zaklęcia o osobistym dlań znaczeniu. „Zabawa nasza skończona. Aktorzy, / jak uprzedzałem, są wszyscy duchami / i już w powietrze, w nicość się rozwiili”*. Nie mógł wyrugować z pamięci tego „w nicość”, tych dwóch sylab, które bezładnie dudniły mu pod czaszką, kiedy nad ranem, udręczony, leżał w łóżku – czuł, że te dwie sylaby go oskarżają, nawet jeśli stopniowo zatracają sens. Cała jego złożona osobowość obróciła się „w nicość”.

Victoria, żona Axlera, już nie była w stanie się nim zajmować, sama zresztą wymagała opieki.

* W. Shakespeare, *Burza*, IV, 1, przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Umiała tylko płakać nad nim, gdy siedział przy kuchennym stole, podpierając głowę rękami, niezdolny do jedzenia posiłku, który mu przyszykowała. „Spróbuj chociaż” – błagała, ale on nic nie jadł, nic nie mówił, i Victoria szybko zaczęła wpadać w panikę. Nigdy w życiu nie widziała go w takim stanie, nawet osiem lat wcześniej, gdy oboje jego rodzice zginęli w wypadku drogowym, jadąc samochodem prowadzonym przez ojca. Axler opłakał ich, po czym dalej robił swoje. Zawsze robił swoje. Osobiste dramaty przeżywał ciężko, ale sztuka nigdy na tym nie traciła. A kiedy Victoria przeżywała kłopoty, właśnie on podtrzymywał ją na duchu i pomagał przetrwać. Jej syn, trudny chłopak, miał wieczne problemy z narkotykami. Ciągle też dręczyła ją perspektywa starości i końca kariery. Jej życie było jednym wielkim rozczarowaniem – ale miała Axlera i dzięki niemu mogła je jakoś znieść. Ach, gdybyż on był przy niej teraz, gdy mężczyzna, na którym tak polegała, nagle znikł.

W latach pięćdziesiątych Victoria Powers była najmłodszą nadzieją baletu Balanchine’a. Potem doznała kontuzji kolana, przeszła operację, wróciła do tańca, kontuzja się odnowiła, operację powtórzono, ale zanim Victoria ukończyła drugi cykl rehabilitacji, najmłodszą nadzieją Balanchine’a był już ktoś inny. Nigdy nie odzyskała swojego miejsca w balecie. Wyszła za mąż, urodziła syna, rozwiodła się, wyszła

drugi raz za mąż, znów się rozwiodła, wreszcie poznała i pokochała Simona Axlera, który dwadzieścia lat wcześniej, gdy świeżo po studiach stawiał pierwsze kroki na nowojorskich scenach, uczęszczał regularnie do City Center, żeby oglądać Victorię, nie z racji szczególnej namiętności do baletu, tylko z powodu młodzieńczej podatności na posiadaną przez Victorię umiejętność budzenia w nim chuci poprzez subtelne poruszenia najczulszych emocji; na wiele lat Victoria utrwałała się w pamięci Axlera jako żywe wcielenie erotycznego patosu. Gdy spotkali się jako czterdziestolatki pod koniec lat siedemdziesiątych, Victorii już od dawna nikt nie proponował żadnej roli, mimo że dzielnie maszerowała co rano do pracy w dzielnicowej szkole tańca. Robiła, co mogła, żeby utrzymać sprawność fizyczną i młodzieńczy wygląd, ale w tym okresie patos wygrywał już zdecydowanie z jej zdolnością do sprawowania nad nim artystycznej kontroli.

Po kompromitacji Axlera w Centrum Kennedy'ego i jego niespodziewanym załamaniu nerwowym Victoria nie wytrzymała i uciekła do Kalifornii, żeby być bliżej syna.

Axler znalazł się nagle sam w domu na wsi, przerażony, że się zabije. Nic go już teraz nie powstrzymywało. Mógł wreszcie zrobić to, przed czym się

wzdragał, dopóki Victoria była na miejscu: wejść schodami na strych, nabić strzelbę, wetknąć koniec lufy do ust i użyć swoich długich rąk do naciśnięcia spustu. Akt pierwszy: żona, akt drugi: strzelba. Ale po wyjeździe żony nie wytrzymał sam nawet godziny – nie mówiąc o tym, że w drodze na strych nie dotarł nawet do pierwszego podestu – tylko zadzwonił do swojego lekarza i poprosił o załatwienie mu przyjęcia do szpitala psychiatrycznego jeszcze w tym samym dniu. W ciągu kilku minut lekarz znalazł mu miejsce w klinice Hammertona, niedużej, cieszącej się dobrą sławą, oddalonej o parę godzin jazdy samochodem na północ.

Spędził tam dwadzieścia sześć dni. Po wstępnym wywiadzie lekarskim, rozpakowaniu rzeczy, oddaniu pielęgniarce „ostrych przedmiotów użytku osobistego” i przekazaniu do depozytu rzeczy wartościowych, kiedy już został sam w przydzielonym sobie pokoju – usiadł na łóżku i przypomniał sobie, jedna po drugiej, wszystkie role, które grał z niezachwianą pewnością siebie, odkąd został zawodowcem w wieku nieco ponad dwudziestu lat; co zatem zniszczyło ową pewność siebie? Jak znalazł się w tym szpitalnym pokoju? Zrodziła się jakaś autoparodia, której przedtem nie było, autoparodia zakorzeniona w nicości, i to on był tą autoparodią – jak to się stało? Czy to tylko wina upływu czasu, niosącego rozkład i upadek? Czy to objaw starzenia się? Wygląd miał

wciąż imponujący. Nie zmieniły się ani jego ambicje aktorskie, ani staranna metoda przygotowywania roli. Teatr od dziesięcioleci nie znał drugiego aktora, który by tak gruntownie, z taką pieczołowitością i powagą podchodził do roli, który by z równą troskliwością pielęgnował swój talent i z równą łatwością przystosowywał się do zmiennych warunków scenicznej kariery. Tak radykalnie przestać być aktorem jego klasy – to wprost niepojęte; jakby go z dnia na dzień, gdy spał, odarto z wagi i substancji zawodowej egzystencji. Umiejętność mówienia i słuchania cudzej mowy na scenie – do tego się wszystko sprowadzało, i to mu właśnie zostało odjęte.

Psychiatra, który się nim zajmował, doktor Farr, próbował dociec, czy istotnie to, co spotkało Axlera, było bez przyczyny, w związku z czym na odbywających się dwa razy w tygodniu sesjach kazał mu szczegółowo badać okoliczności poprzedzające ów, jak to nazwał, „pospolity koszmar”. Miało to znaczyć, że aktorskie nieszczęście, które dotknęło Simona Axlera – wyjście na scenę, stwierdzenie niemożności gry, szok z tym związany – stanowi rutynową treść marzeń sennych wielkiej liczby osób, które, w przeciwieństwie do niego, nie są zawodowymi aktorami. Wyjście na scenę i stwierdzenie, że nie jest się w stanie grać, przyśniło się co najmniej raz w życiu prawie każdemu pacjentowi. Równie pospolite były sny o paradowaniu nago po ruchliwej ulicy,

o spadaniu z urwiska i o awarii hamulców podczas jazdy autostradą. Doktor Farr kazał Axlerowi opowiadać o małżeństwie, o śmierci rodziców, o relacji z uzależnionym od narkotyków pasierbem, o dzieciństwie, o okresie dojrzewania, o początkach działalności aktorskiej, o starszej siostrze, która zmarła na gruźlicę, gdy Axler miał dwadzieścia lat. Doktora interesowały szczególnie wydarzenia z tygodni i miesięcy bezpośrednio poprzedzających występ Axlera w Centrum Kennedy’ego, chciał wiedzieć, czy na pewno Axler nie przypomina sobie czegoś niezwykłego – choćby to był drobiazg – co zaszło w tamtym właśnie okresie. Axler starał się bardzo wyznać prawdę, a tym samym odsłonić przyczynę swojej kondycji – dzięki czemu powróciłby do sił – ale nie widział, żeby jakakolwiek przyczyna „pospolitego koszmaru” wyłaniała się z tego, co mówił, siedząc vis-à-vis życzliwego i uważnego psychiatry. To zaś dodatkowo pogłębiało koszmar. Mimo wszystko rozmawiał z doktorem dalej, za każdym razem gdy ów go odwiedzał. Czemu nie? W pewnym stadium upodlenia człowiek zrobi wszystko, żeby wyjaśnić, co się z nim dzieje, nawet gdy wie, że wyjaśnienia nie tłumaczą niczego, że jedno chybione wyjaśnienie goni drugie.

Po jakichś dwudziestu dniach hospitalizacji nastąpiła noc, podczas której, zamiast się zbudzić o drugiej czy trzeciej nad ranem i w bezsennym lęku

doczekać świtu, Axler przespał bez przerwy aż do godziny ósmej, tak późnej jak na szpitalne standardy, że pielęgniarka przyszła go budzić, żeby jeszcze zdążył do stołówki na wspólne śniadanie pacjentów, wyznaczone na siódmą czterdzieści pięć, po którym zaczynała się dzienna rutyna, obejmująca terapię grupową, terapeutyczne warsztaty plastyczne, konsultację z doktorem Farrem oraz fizjoterapię z rehabilitantką, która robiła, co mogła, żeby zlikwidować jego odwieczne bóle w kręgosłupie. Każda szpitalna godzina wypełniona była zajęciami i spotkaniami, które miały odwieść pacjentów od chowania się w pokojach i leżenia godzinami na łóżkach w niemocy depresji, albo od przesiadywania w małych grupkach, co i tak niektórzy robili, gdy nastawał wieczór, i rozpamiętywania nieudanych prób samobójczych.

Axler parę razy dosiadł się w kącie świetlicy do klubu niedoszłych samobójców, którzy z przejęciem opowiadali sobie, jakimi sposobami próbowali się zabić, i ubolewali nad niepowodzeniem. Każdy pławił się w chwale własnej próby samobójczej i w nędzy przeżycia. To, że człowiek naprawdę jest zdolny to zrobić, że może kontrolować własną śmierć, było dla nich wszystkich źródłem fascynacji – i najoczywistszym tematem rozmów, jak sport dla chłopaków. Paru opisywało z detalami uczucie specyficznego podniecenia, jakiego ponoć doznaje psychopata w

trakcie mordowania ofiary, ogarniające ich w chwili, gdy próbowali zabić siebie. Młoda kobieta mówiła z przejęciem: „Samemu sobie i wszystkim naokoło wydajesz się nieudacznikiem o sparaliżowanej woli, a jesteś w stanie podjąć decyzję o dokonaniu najtrudniejszego z wszystkich ludzkich czynów. To oszałamiające. To budujące. To euforyczne”. „Owszem – przyznał ktoś z grupy – jest w tym szczypta euforii. Życie ci się rozpadło, zatraciło środek ciężkości, a samobójstwo jest tą jedną jedyną rzeczą, nad którą jeszcze możesz panować”. Starszy mężczyzna, emerytowany nauczyciel, który usiłował się powiesić w garażu, wygłosił do zebranych wykład o tym, jak „outsiderzy” zapatrują się na samobójstwo. „Wobec samobójstwa wszyscy bez wyjątku odczuwają jedną potrzebę: wytłumaczyć je. Wytłumaczyć i osądzić. Jest to akt tak przerażający dla tych, co pozostają, że koniecznie chcą znaleźć sposób racjonalnego myślenia o nim. Jedni twierdzą, że samobójstwo to akt tchórzostwa. Inni uważają je za zbrodnię, zbrodnię przeciwko żyjącym. Jeszcze inna szkoła myślenia znajduje w samobójstwie heroiczny akt odwagi. No a poza tym są puryści. Dla nich istnieje tylko jedno pytanie: czy samobójstwo było uzasadnione, czy miało wystarczający powód? Z kolei kliniczny punkt widzenia, wolny od oskarżeń i idealizacji, przyjmuje psychologia, która stara się opisać stan umysłu samobójcy, a konkretnie, stan jego umysłu w chwili

popęłniania aktu samobójczego”. Nudził tak i nudził, nieomal co wieczór, jakby nie był takim samym nieszczęsnym pacjentem jak cała reszta, lecz gościnnym wykładowcą zaproszonym na oddział po to, by oświecił innych w kwestii, która ich pochłaniała obsesyjnie dzień i noc. Któregoś wieczoru także i Axler zabrał głos – występując, co nagle sobie uprzytomnił, przed największą widownią, z jaką miał do czynienia, odkąd przestał grać. „Samobójstwo to rola, którą człowiek sam sobie pisze. Wchodzisz w tę rolę i odgrywasz ją. Ze starannym scenariuszem – gdzie cię znajdują, jak cię znajdują”. Po chwili dodał: „Ale spektakl jest grany tylko raz”.

W rozmowach samobójców intymne szczegóły zdradzało się łatwo i bez żenady; samobójstwo jawiło się w nich jako świetlany cel, życie natomiast – jako kondycja żałosna. Byli wśród pacjentów tacy, którzy z miejsca rozpoznali Axlera, pamiętając go z nielicznych filmów, w jakich wystąpił, lecz i tych tak pochłaniały osobiste zmagania, że nie zważali na niego bardziej niż na całą resztę świata prócz samych siebie. A personel oddziału miał za dużo roboty, żeby przejmować się na dłuższą metę sławnym aktorem. Stał się więc w szpitalu prawie nierozpoznawalny, nie tylko dla innych, ale i dla samego siebie.

Od tego dnia, w którym na nowo odkrył całonocny sen i pielęgniarzka musiała go budzić na śniadanie, czuł, że koszmar ustępuje. Pierwszy lek antydepre-

syjny, który mu zaaplikowali, znosił źle, z drugim było podobnie, dopiero trzeci nie wywołał żadnych niepożądanych skutków ubocznych – ale czy pomógł na depresję, trudno powiedzieć. Axler nie miał poczucia, że jego zdrowienie ma cokolwiek wspólnego z pigułkami i psychoterapią, czy to indywidualną, czy zbiorową, czy zajęciową (wszystkie rodzaje terapii wydawały mu się jałowymi ćwiczeniami). I to go właśnie przerażało wobec bliskiej perspektywy wyjścia ze szpitala: że nic, co mu się przydarza, nie ma związku z niczym innym. Jak powiedział doktorowi Farrowi – i w czym sam utwierdził się w toku psychoterapii, podczas której z największą pilnością oddawał się tropieniu przyczyny swego stanu – bez powodu utracił magię aktorską i równie bezzasadnie zaczęło go opuszczać pragnienie odebrania sobie życia, przynajmniej na razie. „Nic nie dzieje się z konkretnych powodów” – oświadczył lekarzowi jeszcze tego samego dnia, tylko później. „Raz się zyska, raz się straci, wszystko to kaprys. Wszechpłęta kaprysu. W każdej chwili sytuacja może się odwrócić. Właśnie – ta nieprzewidywalna odwracalność i jej władza”.

Pod koniec pobytu w szpitalu zaprzyjaźnił się z pewną osobą i zaczęli jadać razem kolacje, przy których ona opowiadała mu wciąż tę samą własną historię. Poznał ją na zajęciach plastycznych i od tamtej pory siadywali w stołówce naprzeciwko siebie

przy dwuosobowym stoliku, rozmawiając poufnie jak para na randce, albo raczej – przez wzgląd na trzydziestoletnią różnicę wieku – jak ojciec z córką, chociaż tematem ich rozmów było zawsze jej niedosłe samobójstwo. Tego dnia, kiedy się poznali – po kilku pierwszych dobach jej pobytu w klinice – było ich w sali plastycznej tylko dwoje, nie licząc terapeutki, która, jak w przedszkolu, wręczyła im do zabawy po pliku białych arkuszy oraz pudełku kredek i poleciła rysować, co zechcą. Brakowało tylko – tak pomyślał Axler – dziecinnych stolików i krzesełek. Żeby sprawić przyjemność terapeutce, rysowali w milczeniu przez piętnaście minut, po czym, znowu dla sprawienia przyjemności terapeutce, z uwagą wysłuchali nawzajem swoich komentarzy do gotowych obrazków. Ona narysowała dom z ogrodem, on zaś – siebie rysującego siebie: „portret – jak uściślił, odpowiadając na pytanie terapeutki – mężczyzny cierpiącego na depresję, który zgłosił się do szpitala psychiatrycznego i uczęszcza tam na terapeutyczne warsztaty plastyczne, podczas których polecono mu coś narysować”. „A założmy, Simon, że miałbyś ten rysunek zatytułować? Jaki nadałbyś mu tytuł?” „To proste. «Co ja tu do cholery robię?»”.

Pozostałych pięcioro pacjentów zapisanych na zajęcia plastyczne znajdowało się w tym czasie bądź to w łózkach, gdzie leżeli i płakali, niezdolni do niczego innego, bądź pod drzwiami gabinetów swoich

lekarzy prowadzących, gdzie przybiegli bez zapowiedzi, jak na pogotowie, chcąc koniecznie wyzalić się doktorowi na żonę, męża, dziecko, szefa, matkę, ojca, narzeczonego, narzeczoną – czy kogokolwiek innego, kogo już nigdy za nic w świecie nie chcieli widzieć na oczy, albo chcieli, ale tylko pod warunkiem, że doktor będzie przy tym obecny i że nie będzie żadnych krzyków ani rękoczynów, ani gróźb rękoczynów, albo za kim tęsknili nie do wytrzymania i nie mogli bez niego żyć i zrobiliby wszystko, żeby go odzyskać. Czekali w kolejce, żeby denuncjować rodziców, oczerniać rodzeństwo, lżyć partnera życiowego, żeby się mścić, samobiczować albo litować nad sobą. Ten czy ów potrafił się jeszcze skupić – lub udać, że się skupia – na czymkolwiek poza własnym nieszczęściem i pretensjami, w dowód czego przeglądał wyłożony egzemplarz „Time’a” albo „Sports Illustrated”, ewentualnie sięgał po lokalną gazetę i usiłował rozwiązywać krzyżówkę. Cała reszta siedziała w posępnym milczeniu, sparaliżowana wewnętrznym napięciem, odgrywając w myślach – językiem potocznej psychologii, rynsztoka, chrześcijańskiej martyrologii lub paranoidalnej patologii – odwieczne tematy literatury dramatycznej: kazirodztwo, zdradę, niesprawiedliwość, okrucieństwo, zemstę, zazdrość, rywalizację, pożądanie, stratę, hańbę i ból.

Była bladą brunetką o urodzie elfa, z tą kruchością chorowitej dziewczynki, przez którą wygląda-

ła na jedną czwartą swojego wieku. Nazywała się Sybil Van Buren. Okiem aktora spostrzegł, że jej trzydziestopięcioletnie ciało nie tylko nie chce być silne, ale panicznie wzdraga się przed jakąkolwiek oznaką tężyzny fizycznej. A jednak, mimo całej swojej delikatności, zagadnęła go po drodze z pracowni plastycznej do gmachu głównego: „Zjesz ze mną kolację, Simon?”. Zdumiewające. Więc kołatało się w niej jeszcze jakieś życzenie. Chyba że zapragnęła pozostać dłużej blisko niego w nadziei, że znajdzie między nimi dwojgiem coś takiego, co wykończy ją na dobre. Miał właściwe gabaryty do tego zadania, wyglądał przy niej jak wieloryb przy miotanej falą muszelce. Nawet tutaj – gdzie bez pomocy środków farmakologicznych każdy popis równowagi, nie mówiąc o brawurze, kończył się prędko, wessany przez tornado lęku – nie zatracił swobodnego, rozkołysanego kroku zabijaki, który go swego czasu uczynił niepowtarzalnym Otellem. A więc tak, jeśli istniała jeszcze dla niej nadzieja na kompletne pogrążenie się, to bardzo możliwe, że warunkiem jej spełnienia było przyłgnięcie do Simona Axlera. Tak on sobie przynajmniej pomyślał z początku.

– Za długo żyłam w ryzach ostrożności – powiedziała mu Sybil przy pierwszej wspólnej kolacji. – Wzorowa żona: uprawia ogródek, szyje, wszystko w domu umie naprawić, i jeszcze do tego urządza fantastyczne przyjęcia. Ciche, zrównoważone, lojalne

popychało bogatego i wpływowego męża, po staroświecku szczerze i bez reszty oddane wychowaniu dzieci. Zwyczajna egzystencja nieliczącej się śmiertelniczki. No, pojechałam po zakupy – cóż bardziej przyziemnego? Córeczkę zostawiłam bawiącą się na podwórku za domem, synka śpiącego w kołysce na piętrze, bogatego i wpływowego drugiego męża przed telewizorem, oglądał turniej golfowy. Zawróciłam spod supermarketu, bo okazało się, że zapomniałam z domu portfela. Synek spał dalej. Mecz golfowy dalej leciał w telewizji. Ale moja ośmioletnia córeczka, moja Alison, siedziała na kanapie bez majteczek, a mój bogaty i wpływowy drugi mąż klęczał na podłodze i trzymał głowę między jej pulchnymi nóżkami.

– I co robił?

– To, co zazwyczaj robią w tym miejscu mężczyźni.

Axler patrzył, jak Sybil płacze, i nie mówił nic.

– Widziałeś mój rysunek – wykrztusiła wreszcie. – Słońce nad ładnym domem, ogród cały w kwiatkach. Więc znasz mnie. W s z y s c y mnie znają. Zawsze o wszystkim myślę jak najlepiej. Taką przyjęłam postawę życiową, podobnie jak osoby z mojego otoczenia. Mąż wstał z kolan, absolutnie niespeszony, i oznajmił mi, że mała skarżyła się na swędzenie i nie przestawała się drapać, więc on, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, postanowił obejrzeć swędzą-

ce miejsce z bliska. No i stwierdził, że nic się tam nie dzieje. Zupełnie nic, zapewnił mnie, ani wysypki, ani zaczerwienienia... Nic dziecku nie jest. „To świetnie” – powiedziałam. „Wróciłam po portfel”. I zamiast pobiec do piwnicy po jego strzelbę i nafaszerować go kulami, udałam się do kuchni, gdzie znalazłam portfel, po czym powiedziałam: „No to pa”, i zgodnie z planem pojechałam do sklepu, jakbym przed chwilą była świadkiem najpospolitszego zdarzenia pod słońcem. Jak w transie, ogłupiała, załadowałam zakupami dwa wózki, a załadowałabym i dwa następne, i cztery, i sześć, gdyby kierownik sklepu nie zauważył, że bełkoczę do siebie, i nie podszedł zapytać, czy nic mi nie jest. Odwiózł mnie do domu swoim samochodem. Nasz samochód został na parkingu supermarketu, a mnie odwieziono do domu. Nie byłam w stanie wejść po schodach. Trzeba było mnie wnieść do sypialni. Przeleżałam cztery dni w łóżku, nie odzywając się i nic nie jedząc, ledwo dawałam radę dowieść się do łazienki. Oficjalnie mówiło się, że dostałam jakiejś gorączki i lekarz kazał mi leżeć. Mój bogaty i wpływowy drugi mąż był wzorem troskliwości. Moja kochana malutka Alison przyniosła mi cały wazon kwiatów ściętych w moim ogródku. Nie byłam w stanie jej zapytać, nie przeszło mi przez gardło pytanie: „Kto ci zdjął majteczki? Co chciałabyś mi powiedzieć? Gdyby naprawdę coś cię tam swędziało, poczekała-

byś przecież, aż mamusia wróci do domu, i pokazała mamusi? Więc jeżeli, kochanie, nic cię nie swędziało... jeżeli jest coś, o czym mi nie mówisz, bo się boisz...?”. Ale to ja się bałam. To mnie nie było stać na odwagę. Czwartego dnia zdołałam przekonać samą siebie, że to tylko mój wymysł, a po dwóch tygodniach, gdy Alison była w szkole, on w pracy, a mały spał, wyciągnęłam wino, valium i plastikowy worek na śmieci. Ale nie zniosłam duszenia. Spanikowałam. Połknęłam tabletki, popiłam winem, i nagle uprzytomniłam sobie, że nie mam powietrza – i rozerwałam worek. Nie wiem, czego żałuję bardziej – że próbowałam to zrobić czy że mi się nie udało. Teraz chcę tylko jednego: zastrzelić go. Tylko że on jest z dziećmi, a ja tutaj. Jest sam z moją córeczką! Groza! Zadzwoiłam do siostry, poprosiłam ją, żeby z nimi zamieszkała na ten czas, ale on nie pozwolił jej tam nocować. Stwierdził, że nie ma takiej potrzeby. Więc siostra wróciła do siebie. I co ja mogę zrobić? Ja jestem tutaj, a Alison jest tam! Byłam sparalizowana strachem! Nie zrobiłam tego, co powinnam! Nie zrobiłam tego, co każdy zrobiłby na moim miejscu! Trzeba było natychmiast zawieźć dziecko do lekarza! Trzeba było wezwać policję! To przecież było przestępstwo kryminalne! Istnieją na to paragrafy! A ja tymczasem nie zrobiłam nic! Bo on mi, widzisz, oświadczył, że nic się nie stało. Uparcie twierdzi, że to tylko moja histeria, że ulegam złu-

dzeniom, że zwariowałam – a przecież to nieprawda. Przysięgam ci, Simon, że nie zwariowałam. Ja widziałam, jak on to robił.

– To potworne. Potworne przewinienie – powiedział Axler. – Wcale się nie dziwię, że tak na ciebie wpłynęło.

– To wcielone zło. Poszukuję kogoś – wymamrotała konfidencjonalnym półgłosem – kto zabije tego złego człowieka.

– Jestem przekonany, że znalazłaby się masa chętnych.

– Na przykład ty? – spytała szeptem. – Zapłacę.

– Gdybym umiał zabijać, zrobiłbym to za darmo – rzekł, ujmując jej wyciągniętą do niego dłoń. – Nie-nawisć jest zaraźliwa, gdy w grę wchodzi gwałt na niewinnym dziecku. Ale ja jestem tylko wyrzuconym z pracy aktorem. Sknociłbym robotę i trafilibyśmy oboje za kratki.

– No to co ja mam robić? – spytała bezradnie. – Co ty byś zrobił?

– Nabralbym sił. Współpracowałbym z lekarzem i starał się czym prędzej stanąć na nogi, żeby móc wrócić do domu i do dzieci.

– Ale ty mi wierzysz, prawda?

– Jestem pewien, że widziałaś to, co widziałaś.

– To możemy jeść razem kolację?

– Tak długo, jak będę tu siedział – zapewnił ją.

– Już na warsztatach plastycznych byłam pew-

na, że mnie zrozumiesz. Masz w oczach takie mnóstwo cierpienia.

Kilka miesięcy po jego wyjściu ze szpitala syn żony zmarł po przedawkowaniu narkotyków, a małżeństwo bezrobotnej baletnicy z bezrobotnym aktorem zakończyło się rozwodem, i w ten sposób zamknęła się jeszcze jedna z milionów historii o niefortunnych związkach między mężczyzną a kobietą.

Pewnego dnia około południa na podwórze zajeżdżała czarna limuzyna i zaparkowała pod stodołą. Był to mercedes prowadzony przez szofera, z tylnego zaś siedzenia wysiadł Jerry Oppenheim, agent Axlera. Po pobycie aktora w szpitalu agent telefonował do niego co tydzień z Nowego Jorku, wypytując o samopoczucie, ale od tamtego czasu miesiącami nie zamienili słowa – Axler bowiem w pewnym momencie postanowił nie odbierać żadnych telefonów, a więc i tych od agenta – toteż wizyta była niespodzianką. Axler obserwował przez okno, jak Jerry, który miał ponad osiemdziesiąt lat, ostrożnie kroczy po kamiennej ścieżce do frontowych drzwi, z paczuszką w jednej i bukietem kwiatów w drugiej ręce.

Otworzył, zanim gość zdążył zapukać.

– A gdyby mnie nie było w domu? – zagadnął, podtrzymując go za łokieć, gdy przekraczał próg.

– Liczyłem się z ryzykiem – odparł Jerry z cierp-

liwym uśmiechem. Łagodne oblicze i szarmanckie manieri nigdy nie przeszkadzały mu w zachowywaniu bezwzględności w interesie klientów. – No, widzę, że się trzymasz, przynajmniej fizycznie. Gdyby nie ten wyraz beznadziejności w oczach, można by powiedzieć, Simon, że wyglądasz całkiem nieźle.

– A ty jak zwykle nienagannie elegancki – zauważył Axler, który od dobrych paru dni nie golił się ani nie zmieniał ubrania.

– Przyniosłem parę kwiatków. I lunch na wynos z baru Dean i DeLuca. Jadłeś już lunch?

Axler nie jadł nawet śniadania, więc tylko wzruszył ramionami, przyjął podarunki i pomógł Jerry’emu zdjąć płaszcz.

– Przyjechałeś specjalnie z Nowego Jorku – powiedział.

– Tak. Żeby zobaczyć, jak się masz, i pogadać w cztery oczy. Mam dla ciebie wiadomość. Guthrie Theater wystawia *Zmierzch długiego dnia*. Dzwonili i pytali o ciebie.

– O mnie? Ja przecież nie mogę grać, Jerry, wszyscy to wiedzą.

– Nic podobnego. Nawet jeśli wiadomo, że przeszedłeś kryzys nerwowy, to cię w żadnym razie nie separuje od rasy ludzkiej. Premiera jest planowana na zimę przyszłego roku. Pewnie jak zwykle w tamtej okolicy chwycą tęgie mrozy, ale James Tyrone w twoim wykonaniu byłby fantastyczny.

– James Tyrone to jest mnóstwo linijek tekstu, który trzeba znać na pamięć i którego ja nie potrafię wygłosić. James Tyrone to jest postać z pewnym charakterem, w którą ja nie mogę się wcielić. Żadną miarą nie jestem w stanie zagrać Jamesa Tyrone’a. Nie jestem w stanie zagrać nikogo.

– Posłuchaj, dałeś plamę w Waszyngtonie. Każdemu prawie się to zdarza, prędzej czy później. Żadna dziedzina sztuki nie daje wiecznej gwarancji sukcesu. Artysta nagle natrafia na mur, i nie zna powodów. Ale każdy mur jest przeszkodą tymczasową. Mur znika, a ty idziesz dalej. Nie ma na świecie aktora pierwszej klasy, który nie przeżyłby obawy, że jego kariera się skończyła, a on sam już nigdy nie wyjdzie z impasu. Nie ma takiego aktora, który by nie doświadczył pustki w głowie w połowie monologu. Ale każde wyjście na scenę to dla aktora nowa szansa. Aktor może odzyskać talent. Nie traci się bezpowrotnie umiejętności szlifowanych przez czterdzieści lat. Nadal umiesz zrobić wejście i usiąść na krześle. John Gielgud mawiał, że chciałby czasem być malarzem albo pisarzem. Mógłby wtedy o północy zrobić nieudany spektakl z minionego wieczoru. Ale jako aktor nie może. Musi działać na żywo. Gielgud przeżył fatalny okres, kiedy nic mu nie wychodziło. Tak samo Olivier. Olivier też swoje przeżył. Miał koszmarny problem: nie był w stanie patrzeć w oczy innym aktorom. Prosił ich: „Nie patrzcie na mnie,

bo to mnie wytrąca z roli”. Potem z kolei przez jakiś czas nie umiał być sam na scenie. Błagał kolegów: „Nie zostawiajcie mnie tam samego”.

– Ja znam te historie, Jerry. Nasłuchałem się ich aż nadto. One mnie nie dotyczą. W przeszłości miałem dwa, najwyżej trzy nieudane wieczory, po których nie umiałem dojść do siebie. Ale przez dwa czy trzy wieczory mogłem sobie powtarzać: „Jestem dobry. Tylko teraz mi nie wychodzi”. Widownia mogła tego nawet nie zauważyć, tylko ja sam wiedziałem, że mnie nie ma w roli. Takie wieczory, kiedy się nie jest w roli, to katorżnicza praca, ja to znam, ale wiem, że to nie jest praca niewykonalna. Można nawet dojść do mistrzostwa w operowaniu tym, co się ma, kiedy już nie ma się nic innego. Ale to całkiem odrębna sprawa. Gdy dawniej zdarzyło mi się sknocić spektakl, leżałem do późna w nocy i myślałem sobie: „To koniec, nie mam talentu, nic już na to nie poradzę”. Mijała godzina za godziną, aż wtem, o piątej czy szóstej nad ranem – olśnienie: już wiedziałem, co robię źle, i nie mogłem się doczekać wieczoru, żeby pójść do teatru i zagrać na nowo. I grałem, i nie popełniałem błędu. Cudowne uczucie. Bywają dni, że nie można się doczekać spektaklu, dni, gdy mariaż aktora z rolą jest idealny, a uczucie szczęścia w chwili wyjścia na scenę nie opuszcza go ani przez moment. To są dni wielkiej wagi. Ja przez lata doświadczałem ich niemal non stop. No, ale to

się skończyło. Dziś, gdybym miał stanąć na scenie, to nie wiedziałbym, co tam robię. Pojęcia bym nie miał, jak zacząć. Dawniej wystarczyły mi trzy godziny przygotowań w teatrze przed spektaklem o dwudziestej. O dwudziestej byłem już całkiem wcielony w rolę – jak w transie, w bardzo pożytecznym transie. Gdy graliśmy *Zjazd rodzinny*, zjawiałem się w teatrze na dwie godziny przed pierwszym wejściem, żeby przećwiczyć sposób wbiegania na scenę człowieka ściganego przez Furie. Nie było to zadanie łatwe, lecz mu podołałem.

– I tym razem też podołasz – wmawiał mu Jerry. – Zapominasz, kim jesteś i co osiągnąłeś. Twoje życie z całą pewnością nie poszło na marne. Raz po raz dokonywałeś cudów scenicznych, które mnie zaskakiwały i które po tysiąc razy, latami, wzruszały publiczność, mnie zresztą także. Oddalałeś się najbardziej jak można od oczywistości, jaką w danym momencie zastosowałby inny aktor. Nie umiałeś być rutyniarzem. Chciałeś sięgać wszędzie. Daleko, dalej, najdalej, jak się da. A publiczność wierzyła ci w każdej sekundzie, gdziekolwiek porywałeś ją ze sobą. Jasne, nic nie jest nam dane na zawsze, ale też nic nie jest nigdy na zawsze stracone. Twój talent chwilowo się zawieruszył, to wszystko.

– Nie, Jerry, mój talent przepadł. To już nie dla mnie. Albo jest się wolnym, albo nie. Albo jest się wolnym i wszystko, co się robi, jest autentyczne,

prawdziwe, żywe – albo nie ma nic. Ja już nie jestem wolny.

– No dobra. Więc przynajmniej zjedzmy coś. I wstaw kwiaty do wazonu. Dom wygląda porządnie. Ty wyglądasz porządnie. Trochę może za bardzo schudłeś, ale ogólnie prezentujesz się po dawnemu. Jadasz jak należy, mam nadzieję?

– Jadam.

Kiedy jednak zasiedli przy kuchennym stole, rozdeleni wazonem z kwiatami, Axler nie był w stanie niczego przełknąć. Wyobrażał sobie, że wychodzi na scenę w roli Jamesa Tyrone’a i sala wybucha śmiechem. Jego lęk przybrał postać czystą: ludzie mieli się z niego śmiać, ponieważ był sobą.

– Co porabiasz całymi dniami? – spytał Jerry.

– Spaceruję. Śpię. Gapię się w przestrzeń. Próbuję czytać. Próbuję zapomnieć o sobie chociaż na minutę w ciągu każdej godziny. Oglądam wiadomości. Jestem na bieżąco, jeśli idzie o wydarzenia.

– Z kim się widzisz?

– Z tobą.

– To nie jest tryb życia dla kogoś z twoim dorobkiem życiowym.

– To bardzo miło, Jerry, że przyjechałeś tu do mnie taki kawał, ale ja nie jestem w stanie zagrać w Guthrie. Skończyłem z tym.

– Z niczym nie skończyłeś. Boisz się tylko porażki. Ale porażki masz już za sobą. Nawet nie zdajesz

sobie sprawy z tego, jak jednostronne i maniackalne stało się twoje spojrzenie na życie.

– Czy to ja pisałem ostatnie recenzje? Czy je pisał ten maniak, który przed tobą siedzi? Czy spod tej ręki wyszła miażdżąca ocena mojego Makbeta? Grałem żałośnie, i to mi wypomniano. Grając, myślałem co chwila: „Tę kwestię mam już za sobą, Bogu dzięki, mam ją za sobą”. Próbowałem sobie wmawiać: „No, dzisiaj nie było tak źle jak wczoraj” – gdy w istocie było tak samo, albo gorzej. Wszystko wychodziło mi fałszywie. Słyszałem ten przekłęty sztuczny ton we własnym głosie, ale żadną miarą nie umiałem się powstrzymać przed sknoceniem roli. Ohyda. Ohyda. Ani jeden spektakl się nie udał, ani jeden.

– Zgódźmy się, że nie zagrałeś Makbeta w sposób dla ciebie samego zadowalający. I co z tego? Nie ty pierwszy. Trudno się aktorowi żyć z taką paskudną postacią jak Makbet. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek potrafiłby go grać, nie popadając w nerwicę. To zbrodniarz, morderca. W tej sztuce wszystko jest wyolbrzymione. Szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałem, na co tam aż tyle zła. Machnij ręką na *Makbeta*. Machnij ręką na tamte recenzje – kusił Jerry. – Pora się ruszyć. Powinieneś przyjechać do Nowego Jorku i popracować na warsztatach z Vincentem Danielsem. Nie byłbyś pierwszym, któremu to pomogło odzyskać pewność siebie. Pomyśl, ile trudnych rzeczy w życiu zagrałeś, ile Szekspira, ilu klasyków

– nie ma mowy o końcu dla człowieka z twoją biografią. To chwilowa utrata wiary w siebie.

– To nie jest kwestia wiary w siebie – odparł Axler.

– Ja zawsze w głębi duszy podejrzewałem, że nie mam za grosz talentu.

– No, to już istna bzdura. Depresja przez ciebie przemawia. Każdy aktor w tym stanie, co ty, mówi dokładnie to samo. „Nie mam za grosz talentu. Nie potrafię nauczyć się roli na pamięć. Koniec ze mną”. Ja to słyszałem z tysiąc razy.

– Nie, nie, posłuchaj mnie. W chwilach absolutnej szczerości mówiłem sobie: „No dobrze, powiedzmy, że mam odrobinę talentu, w każdym razie umiem udawać osobę z talentem”. Ale to wszystko była lipa, Jerry, całe to gadanie i o talencie, i o utracie talentu. Moje całe życie to jedna wielka lipa, od początku do końca.

– Dajże już spokój, Simon. W dalszym ciągu umiesz przyciągnąć na scenie uwagę jak rasowy gwiazdor. Jesteś gigantem, na miłość boską.

– Nie, nie, to tylko fałsz, czysty fałsz, tak dojmujący, że jedyne, na co byłoby mnie teraz stać, to wyjść na scenę i oznajmić publiczności: „Jestem kłamcą. I nawet kłamać dobrze nie potrafię. Jestem falsyfikatem”.

– No, to już bzdura piramidalna. Przypomnij sobie marnych aktorów – jest ich niemało, i jakoś sobie radzą. Więc nie przekonuj mnie, że Simon Axler, ze

swoim talentem, nie jest w stanie sobie poradzić. Widywałem cię w przeszłości w nie najszcześniejszych okresach, w okresach psychicznego udręczenia, ale wystarczyło położyć przed tobą scenariusz, otworzyć ci dostęp do tego, co robiłeś tak wspaniale, pozwolić ci być kimś innym – i zawsze okazywało się to dla ciebie wyzwajające. Tak bywało dawniej, i tak samo może stać się teraz. Miłość do tego, co robisz dobrze, może powrócić, i powróci, przekonasz się. Mówię ci, Vincent Daniels to mistrz w rozwiązywaniu problemów takich jak twoje, twardy, przebiegły, inteligentny nauczyciel, o nieprzeciętnej inteligencji, a w dodatku znający się na scenie.

– Nazwisko słyszałem – przyznał Axler. – Ale nie znam człowieka osobiście. Nigdy nie miałem potrzeby.

– To dziwak, ale zna się na rzeczy i obudzi w tobie na nowo chęć rywalizacji. Przywróci ci ducha walki. Zacznie, jeśli potrzeba, od samych podstaw. Możliwe, że każe ci się wyzbyć wszystkich dotychczasowych dokonań. To będzie męka, ale zakończy się tym, że wrócisz na swoje właściwe miejsce. Byłem na tych warsztatach, widziałem, jak Vincent pracuje. Mówi: „Skup się na pojedynczej chwili. Zajmujemy się tutaj jedną chwilą. Zagraj tę chwilę, zagraj to wszystko, co w tobie gra w tej właśnie chwili, i potem dopiero przejdź do następnej chwili. Nie jest istotne, dokąd zmierzasz. Tym się nie przejmuj.

Jest chwila, i chwila, i chwila, i chwila. Twoim zadaniem jest zaistnieć w tej jednej chwili, nie troszcząc się o pozostałe i nie przejmując ostatecznym celem. Bo jeśli zdołasz urzeczywistnić jedną chwilę, to zajdziesz, gdzie tylko zechcesz”. Ja wiem, Simon, że to może brzmieć jak banał, ale właśnie rzeczy banalne są najtrudniejsze – to jest taki banał, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Moim zdaniem, Vincent Daniels to dla ciebie w tej chwili człowiek idealny. Ufam mu bezgranicznie, jeśli chodzi o rozwiązanie twojej sytuacji. Dam ci jego wizytówkę. Właściwie po to przyjechałem, żeby ci ją dać.

Jerry podał mu wizytówkę, więc Axler ją przyjął, jednocześnie wypowiadając słowa:

– Nie mogę.

– To co w zamian proponujesz? Co zrobisz z licznymi rolami, do których dojrzałeś? Serce mi pęka, jak pomyślę o tych wszystkich rolach, do których jesteś stworzony. Gdybyś się zgodził zagrać Jamesa Tyrone’a, mógłbyś podjąć współpracę z Vincentem i z jego pomocą wyjść na prostą. On taką pracę z aktorami wykonuje stale. Nie zliczę, ile razy podczas gali wręczania Oscarów czy nagród Tony laureat oświadczał: „I chciałbym jeszcze podziękować Vincentowi Danielsowi. Jest niezrównany”.

Axler w odpowiedzi tylko pokręcił głową.

– Mówię ci – przekonywał Jerry. – Wszyscy znają to uczucie „Nie dam rady”, wszyscy znają lęk przed

obnażeniem fałszu, to bólaczka każdego aktora. „Zdemaskowali mnie. Dałem się zdemaskować”. Pewien rodzaj paniki, bądźmy szczerzy, przychodzi z wiekiem. Jestem o wiele starszy od ciebie i mam z nią do czynienia od lat. Po pierwsze, człowiek staje się powolniejszy. We wszystkim. Nawet czytanie idzie wolniej. Jak próbuję teraz szybciej coś przeczytać, za dużo mi umyka. Spowalnia się mowa, spowalnia się pamięć. To naturalna kolej rzeczy. W tym procesie człowiek zaczyna tracić do siebie zaufanie. Bo już nie jest taki bystry jak kiedyś. Zwłaszcza aktor to odczuwa. Młody aktor wkuwa na pamięć jedną rolę za drugą i w ogóle się nad tym nie zastanawia. Dla młodego nic trudnego. Ale przychodzi czas, że nagle zaczyna się robić trudniej i nic już nie idzie jak z płatka. Uczucie się na pamięć to duży stres dla aktorów teatralnych, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę i siedemdziesiątkę. Dawniej całą rolę opanowywali w jeden dzień – dziś dobrze, jak zapamiętają dziennie jedną stronę. Stąd bierze się lęk, poczucie słabości, niewiara we własną witalność. To człowieka przeraża. Ze skutkiem, o którym sam przed chwilą wspomniałeś: człowiek nie czuje się już wolny. Nic się nie dzieje – i to jest właśnie najgorsze.

– Jerry, zmęczyła mnie już ta rozmowa. Możemy tak gadać przez cały dzień, ale to nic nie da. Bardzo miło, że przyjechałeś mnie odwiedzić, dzięki za lunch, za kwiaty, za to, że chciałeś mi pomóc, do-

dać ducha, pocieszyć mnie i poprawić moje samopoczucie. To bardzo wielkoduszne z twojej strony. Ciesz się, że tak dobrze wyglądasz. Ale w moim życiu moment przełomowy już się dokonał. Jestem niezdolny do grania. Utraciłem jakąś fundamentalną cechę. Nie myśl o mojej karierze jako przedwcześnie przerwanej. Pomyśl, jak długo ona trwała. Gdy zaczynałem, jeszcze jako student, to były wygłupy. Aktorstwo traktowałem jako pretekst do poznawania dziewczyn. Ale potem zachłysnąłem się teatrem. Nagle zacząłem żyć na scenie i oddychać grą. Startowałem młodo. Miałem dwadzieścia dwa lata, kiedy przyjechałem do Nowego Jorku na przesłuchanie. I dostałem rolę. Zacząłem pobierać lekcje. Ćwiczenia sensoryczno-pamięciowe. Urealnianie rzeczy gestem. Kreowanie przed spektaklem wyimaginowanej rzeczywistości, w którą wkroczysz na scenie. Na początku zajęć, pamiętam, mieliśmy wyobrazić sobie filiżankę i napić się z niej. Czy jest gorąca, czy zimna, jak bardzo napełniona, ze spodkiem czy bez spodka, z łyżeczką czy bez łyżeczki, czy będziesz słodził, ile kostek cukru. Wreszcie zaczynasz pić; na innych to działało wręcz hipnotyzująco, ale ja jakoś nigdy nie miałem poczucia, że tego typu ćwiczenia mi pomagają. Zresztą, nie byłem w nich za dobry, właściwie byłem kiepski. Niby robiłem co trzeba, ale bez efektu. Bo mnie udawało się tylko to, co wychodziło instynktownie, natomiast odgrywanie tych sztuczek i

znajomość ich mechanizmów obnażały we mnie aktora. Kiedy udawałem, że piję z udawanej filiżanki, wyglądałem śmiesznie. Zawsze słyszałem przy tym złośliwy wewnętrzny głos: „Nie ma filiżanki”. Teraz, przyznam ci się, ten złośliwy głos zdominował wszystko. Żebym się nie wiem jak przygotował do roli, żebym nie wiem co wymyślił, w momencie, kiedy staję na scenie, włącza mi się złośliwy refren: „Nie ma filiżanki”, i nie ustaje. To koniec, Jerry. Nie umiem już ożywić sztuki dla publiczności. Nie umiem już ożywić postaci dla siebie.

Po odjeździe Jerry'ego Axler udał się do gabinetu i wyciągnął prywatny egzemplarz *Zmierzchu długiego dnia*. Spróbował czytać na głos, lecz efekt był nieznośny. Z trudem dobrnął do strony czwartej – tam założył tekst wizytówką Vincenta Danielsa. W Centrum Kennedy'ego czuł się tak, jakby jeszcze nigdy w życiu nie grał na scenie, a teraz poczuł się tak, jakby jeszcze nigdy w życiu nie czytał sztuki teatralnej – jakby nigdy nie czytał t e j sztuki. Zdania snuły się bez znaczenia. Mieszało mu się, która z postaci wypowiada którą kwestię. Otoczony książkami, Axler usiłował sobie przypomnieć wszystkie dramaty, w których ktoś z bohaterów popełnia samobójstwo. Hedda w *Heddzie Gabler*, panna Julia w *Pannie Julii*, Fedra w *Hipolicie*, Jokasta w *Królu Edypie*, prawie wszyscy w *Antygonie*, Willy Loman w *Śmierci komiwojażera*, Joe Keller we *Wszystkich moich synach*,

Don Parritt w *Przyjdzie na pewno*, Simon Stimson w *Naszym mieście*, Ofelia w *Hamlecie*, Otello w *Otellu*, Kasjusz i Brutus w *Juliuszu Cezarze*, Gonerila w *Królu Learze*, Antoniusz, Kleopatra, Enobarbus i Charmian w *Antoniuszu i Kleopatrze*, dziadek w *Zbudź się i śpiewaj*, Iwanow w *Iwanowie*, Konstanty w *Mewie*. A była to tylko lista sztuk, w których Axler kiedyś grał. Oprócz nich istniało wiele, wiele innych. Zastanawiająca wydała mu się uporczywość, z jaką wątek samobójstwa powraca w dramatach scenicznych, całkiem jakby zawierał w sobie elementarną formułę dramaturgii, uzasadnioną nie tyle samą konkretną akcją, ile istotą gatunku. Deirdre w *Deirdre od Smutków*, Hedvig w *Dzikiej kaczce*, Rebeka West w *Rosmersholmie*, Christine i Orin w *Żałoba przystoi Elektrze*, Romeo i Julia, Ajaks Sofoklesa. Samobójstwo to temat kontemplowany przez dramaturgów od piątego wieku przed naszą erą – najwyraźniej uwodzą ich istoty wyposażone w emocje wyzwalające ten nadzwyczajny akt. Pomyślał, że powinien postawić sobie zadanie przeczytania na nowo wszystkich tych sztuk. Tak – trzeba stanąć twarzą w twarz z wszelką grozą. Żeby nikt potem nie mógł powiedzieć, że Axler nie przemyślał gruntownie swojego kroku.

Jerry przywiózł z sobą w dużej kopercie całą skromną korespondencję adresowaną do Axlera po-

przez Agencję Oppenheima. Bywały czasy, że Axler co parę tygodni dostawał tą drogą po kilkanaście listów od wielbicieli. Teraz uzbierało się kilka przez pół roku. Axler usiadł w salonie i zaczął od niechcenia rozdzierać jedną kopertę po drugiej – z każdego listu odczytywał pierwszych parę linijek, po czym miał go i rzucał na podłogę. Wszystkie zawierały prośby o fotos z autografem – z jednym wszakże wyjątkiem, którym Axler tak się zdumiał, że przeczytał go w całości.

„Nie wiem, czy mnie Pan pamięta” – zaczynał się list. „Byłam pacjentką w klinice Hammertona. Kilka razy zjedliśmy wspólnie kolację. Właśnie przed chwilą skończyłam oglądać kino nocne w telewizji i z wielkim zdziwieniem rozpoznałam w filmie Pana. Grał Pan bezwzględного przestępcę. Zaskoczył mnie Pana widok na ekranie, szczególnie w takiej brutalnej roli. Jakże różniła się grana przez Pana postać od mężczyzny, którego poznałam w szpitalu. Pamiętam, jak opowiadałam Panu moją historię. Pamiętam, jak cierpliwie Pan słuchał, przez parę kolacji. Nie mogłam przestać mówić. Byłam w skrajnej udręce. Miałam poczucie, że moje życie się skończyło. Chciałam, żeby się skończyło. Pan tego zapewne nie wie, ale Pańskie cierpliwe słuchanie przyczyniło się znacznie do poprawy mojego stanu. Powrót do życia nie był łatwy. Nie jest łatwy. Nigdy nie będzie. Potwór, z którym byłam związana małżeństwem, do-

konał nieodwracalnych zniszczeń w mojej rodzinie. Stworzył koszmar dużo gorszy, niż myślałam będąc w szpitalu. W domu działały się od dawna straszne rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Wielka tragedia dotknęła moją córeczkę. Pamiętam, jak spytałam Pana, czy mógłby go Pan zabić na moje zlecenie. Obiecywałam, że zapłacę. Zdawało mi się, że przez swoją potężną posturę jest Pan do tego zdolny. Wielkodusznie nie nazwał mnie Pan wtedy wariatką, tylko wysłuchał moich bredni do końca, jakbym była osobą przy zdrowych zmysłach. Dziękuję Panu za to. Ja jednak nigdy nie powrócę do pełnej normalności. To niemożliwe. To nierealne. To byłoby niedopuszczalne. Moja głupota polegała na tym, że skazałam na śmierć niewłaściwą osobę”.

List, napisany jednym ciągiem, zajmował cztery strony wielkiego formatu i podpisany był „Sybil Van Buren”. Axler przypomniał sobie, jak słuchał opowieści tej kobiety – mobilizacja uwagi i poświęcenie jej komuś innemu, a nie sobie, była dla niego wówczas pierwszym od dawna odruchem zasługującym na miano czynności, kto wie zatem, czy nie przyczyniła się do poprawy również i j e g o kondycji. Tak, przypominał sobie i osobę, i całą historię, i prośbę o zabicie męża, skierowaną do niego, jakby faktycznie był filmowym gangsterem, a nie pacjentem oddziału psychiatrycznego, rośłym co prawda, lecz tak samo jak ta kobieta niezdolnym do agresji

z użyciem broni, nawet dla ostatecznego ukrócenia własnych cierpień. W kinie ludzie mordują się nawzajem bez ustanku, ale filmy o zabijaniu kręci się właśnie dlatego, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent widowni nigdy by się na taki akt nie zdobyło. A skoro tak trudno jest zabić kogoś innego, kogoś, kto dał nam mocne powody do zabójstwa, to jaką sztuką musi być zabicie samego siebie.

2. PRZEMIANA

Rodziców Pegeen znał i przyjaźnił się z nimi zażyłe jeszcze przed jej narodzinami, a ją samą ujrzał po raz pierwszy w szpitalu jako noworodka ssącego matczyną pierś. Axler i świeżo poślubieni Staplefordowie – on z Michigan, ona z Kansas – zetknęli się, występując razem w amatorskim przedstawieniu sztuki *Playboy zachodniego świata*, pokazywanym w podziemiu pewnego kościoła w Greenwich Village. Axler grał cudownie rozwichrzoną główną postać Christy’ego Mahona, niedoszłego ojcobójcy, natomiast wiodącą rolę żeńską – charakternej barmanki Pegeen Mike Flaherty, obsługującej pub swojego ojca na zachodnim wybrzeżu hrabstwa Mayo – wzięła na siebie Carol Stapleford, będąca wówczas w drugim miesiącu ciąży z pierwszym dzieckiem. Asa Stapleford zagrał Shawna Keogha, narzeczonego Pegeen. Gdy sztuka zeszała z afisza, urządzono bankiet pożegnalny, na którym również Axler zgłosił propozycje imion dla mającego przyjść na świat dziec-

ka Staplefordów – Christy, jeśli będzie to chłopiec, i Pegeen Mike, jeśli dziewczynka.

Nic nie wróżyło – zwłaszcza że Pegeen Mike Stapleford od dwudziestego roku życia wiodła życie zdeklarowanej lesbijki – że gdy ona ukończy czterdzieści lat, a Axler sześćdziesiąt pięć, zostaną kochankami, dzwoniącymi do siebie co rano tuż po obudzeniu i z radością spędzającymi cały wolny czas u niego w domu, gdzie Pegeen, sprawiając mu tym wielką przyjemność, zawłaszczyła dwa pokoje – jedną z trzech sypialni na piętrze na swoje rzeczy i gabinecik przy salonie na laptopa. Wszystkie dolne pomieszczenia, nawet kuchnia, wyposażone były w kominki, a Pegeen, pracując w gabinecie, lubiła, żeby ogień buzował cały czas. Mieszkała nieco ponad godzinę jazdy od Axlera, jazdy krętymi, pagórkowatymi drogami przez tereny uprawne, za którymi rozciągał się należący do niego pięćdziesięcioakrowy obszar dzikich łąk, z dużym, starym wiejskim domem, białym z czarnymi okiennicami, stojącym w otoczeniu wiekowych klonów, strzelistych topól i długich, nierównych kamiennych murów. Oprócz nich dwojga nie było w pobliżu żywej duszy. Przez pierwsze miesiące rzadko wychodzili z łóżka przed południem. Nie mogli się od siebie oderwać.

Niesamowite, bo zanim przyjechała Pegeen, Axler był przekonany, że w jego życiu nastąpił już definitywny koniec: koniec z aktorstwem, koniec z

kobietami, koniec z ludźmi, koniec raz na zawsze ze szczęściem. Od przeszło roku fatalnie czuł się fizycznie, ledwo chodził, stać lub siedzieć też nie mógł długo, a wszystko z powodu bólów kręgosłupa, które trapiły go przez całe dorosłe życie, ale gwałtownie nasiliły się z wiekiem – tym bardziej więc czuł, że to już koniec. Jedna noga drętwiała mu co jakiś czas, tak że nie dawał rady unosić jej prawidłowo przy chodzeniu, co niejednokrotnie kończyło się upadkiem ze schodów albo z krawężnika, z lądowaniem na rękach, poranionych już po poprzednich incydentach, albo nawet na twarzy, co kończyło się rozciętą wargą lub rozbitym nosem. Przed paroma zaledwie miesiącami jego najlepszy i jedyny przyjaciel z okolicy, osiemdziesięcioletni emerytowany sędzia, zmarł na raka, wskutek czego Axler, który już od trzydziestu lat stacjonował o dwie godziny jazdy od miasta – jeżeli tylko nie grał gdzieś po świecie, dekował się na wsi – kompletnie nie miał z kim zamienić słowa ani zjeść wspólnie posiłku, nie mówiąc już o dzieleniu łóża. Zaczął więc znowu przemyślać o samobójstwie, równie często jak przed hospitalizacją, od której minął rok. Codziennie budził się z poczuciem pustki, mówiąc sobie, że nie przebrnie przez kolejny dzień – niezdolny do niczego, samotny, bezrobotny i nieustannie zboląły. Znów wszystkie jego myśli skupiały się na samobójstwie; centralny punkt poczucia wyłączenia z życia stanowiło właśnie ono.

W bury, mroźny poranek po tygodniu gwałtownych zamieci Axler wyszedł z domu, żeby wyprowadzić spod wiaty samochód i przejechać cztery mile do pobliskiego miasteczka dla uzupełnienia zapasów spożywczych. Ścieżki wokół jego domu codziennie odśnieżał pługiem wynajęty rolnik, ale Axler i tak stąpał bardzo ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć i nie upaść – włożył buty na grubych traktorach, a dla pewności podpierał się jeszcze laską. Pod licznymi warstwami ubrań zapiął w pasie, na wszelki wypadek, sztywny gorset ortopedyczny. W drodze od drzwi do wiaty spostrzegł małe białawe zwierzątko z długim ogonem, stojące w śniegu między wiatą a stodołą. W pierwszej chwili pomyślał, że to przerośnięty szczur, ale po kształcie i kolorze nagiego ogona, oraz charakterystycznym ryjku, rozpoznał w końcu oposa, około dziesięciocalowej długości. Oposy są na ogół aktywne w nocy, ten jednak, nieco wyblakły i wyliniały, wystawiał się jakby nigdy nic na światło dzienne. Gdy Axler zaczął się do niego zbliżać, opos pokuśtykał chwiejnie w stronę stodoły i znikł w pryzmie śniegu przylegającej do kamiennej podmurówki. Axler poszedł za zwierzątkiem – najwyraźniej chorym i bliskim swego końca – a doszedłszy do śnieżnego kopca, spostrzegł w nim otwór wiodący do środka. Wspierając się oburącz na lasce, ukląkł w śniegu, żeby tam zajrzeć. Opos schował się głęboko, nie było go widać, ale w

przedniej części jamy przypominającej jaskinię leżało kilka patyków. Axler je policzył. Sześć. A więc tak to się robi, pomyślał. Ja mam za dużo. Potrzeba tylko sześciu patyków.

Nazajutrz rano, kiedy parzył kawę, ujrzał oposa przez okno w kuchni. Zwierzak stał na zadnich łapkach przy ścianie stodoły i zjadał śnieg z wierzchu zasy, nagarniając go sobie przednimi łapkami do pyszczka. Axler wzuł szybko buty, narzucił kurtkę, chwycił laskę, wyszedł z domu i przeszedł oczyszczoną ścieżką wzdłuż ściany, aż znalazł się na wprost stodoły. Po czym krzyknął pełnym głosem do oposa, od którego dzieliło go jakieś dwadzieścia stóp:

– Może byś chciał zagrać Jamesa Tyrone’a? W Guthrie! – Opos dalej jadł swój śnieg. – Byłbyś fantastyczny w roli Jamesa Tyrone’a!

Po tym dniu jego mała zwierzęca karykatura zniknęła. Nigdy więcej nie zobaczył oposa – który albo się gdzieś wyniósł, albo zdechł – chociaż śnieżna jama z sześcioma patykami przetrwała aż do pierwszych roztopów.

A potem zjawiała się Pegeen. Zadzwoiła do niego z domku, który wynajęła o parę mil od Prescott, małego, postępowego college’u żeńskiego w zachodniej części stanu Vermont, gdzie właśnie zatrudniła się na etacie wykładowcy. Do jego domu była stam-

tał godziną jazdy na zachód; po drodze przekraczało się granicę stanową i wjeżdżało w rolniczy obszar stanu Nowy Jork. Nie widział Pegeen od dwudziestu lat, odkąd jako wesoła studentka wojażowała podczas wakacji z rodzicami. Znaleźli się wówczas w pobliżu i wpadli do Axlera na parę godzin. Spotykali się tak raz na dobrych parę lat. Asa prowadził regionalny teatr w stanie Michigan, w miasteczku Lansing, gdzie się urodził i wychował, Carol zaś grała w stałym zespole tegoż teatru i prowadziła zajęcia aktorskie na uniwersytecie stanowym. Co do Pegeen, to widział ją wtedy dopiero po raz trzeci od narodzin – poprzednio jako nieśmiałą, uśmiechniętą dziesięciolatkę, która drapała się po wszystkich drzewach wokół jego domu i bardzo szybko pływała w jego basenie: chuda, silna chłopczyca, chichocząca bezradnie z wszystkich dowcipów ojca. Podczas pierwszego spotkania z Axlerem ssała matczyną pierś na oddziale położniczym szpitala St. Vincent w Nowym Jorku.

Teraz stanęła przed nim zgrabna czterdziestolatka o pełnym biuście, w której uśmiechu wciąż pozostało coś z dziecka: uśmiechając się, odruchowo unosiła górną wargę, odsłaniając wielkie przednie zęby; a w zamaszystym chodzie – coś z chłopczycy. Ubrana była jak na wycieczkę w teren, w znoszone buty na traktorach i czerwoną kurtkę na suwak, włosy zaś, które nieprawidłowo zapamiętał jako blond, po matce,

były ciemnokasztanowe i bardzo krótko ostrzyżone – z tyłu wyglądały wręcz na wygolone maszynką. Roztaczała nieodparty urok osoby szczęśliwej, a jej głos – chociaż stanowiła uosobienie Wiecznej Chłopczycy – był uwodzicielsko modulowany, jakby mówiąc, naśladowała aktorską dykcję matki.

Niebawem dowiedział się, że Pegeen od jakiegoś czasu żyje wedle własnych upodobań, a nie ich groteskowej imitacji. Ostatnie dwa lata sześcioletniego romansu spędziła w bolesnej samotności domostwa w Bozeman, w stanie Montana.

– Przez pierwsze cztery lata – opowiadała mu w noc po tym, jak zostali kochankami – kumplowaliśmy się z Priscillą fantastycznie. Jeździliśmy na biwaki, zawsze autostopem, nawet jak padał śnieg. Latem potrafiłyśmy się wybrać na Alaskę i tam stopować i biwakować. To nas kręciło. Zwiedziliśmy Nową Zelandię, Malezję. Było coś dziecinnego w tym naszym przygodowym wałęsaniu się po świecie, uwielbiałam to. Czułyśmy się jak dwie uciekinierki. Ale gdzieś w piątym roku wspólnego życia Priscilla zaczęła coraz bardziej wsiąkać w komputer, a ja nie miałam nawet z kim pogadać, najwyżej z kotami. Do tamtego czasu wszystko robiłyśmy razem. Kładłyśmy się, na przykład, w łóżku, każda ze swoją książką, i wzajemnie czytałyśmy sobie na głos fragmenty; doprawdy długo panowało między nami idealne porozumienie. Priscilla w towarzystwie nigdy nie po-

wiedziała: „Ta książka mi się podoba”, tylko zawsze: „Ta książka n a m się podoba”, albo o jakimś miejscu: „Fajnie nam tam było”, albo o planach: „Taki mamy pomysł na najbliższe lato”. My. My. My. I nagle „my” przestało być my – my się skończyło. My znaczyło teraz: ona i jej macintosh. My oznaczało ją i jej obrzydliwy sekret, który wymazał wszystko inne – że zamierza okaleczyć moje ukochane ciało.

Obydwie wykładały na uniwersytecie w Bozeman, ale przez ostatnie dwa lata ich wspólnego życia Priscilla zaraz po powrocie z pracy siadała przed komputerem i nie wstawała od niego aż do nocy. Całe weekendy przesiadywała przed komputerem. Jadła i piła przed komputerem. Skończyły się rozmowy, skończył się seks, nawet na biwaki w górach i na autostop Pegeen musiała sobie poszukać nowego towarzystwa. Aż pewnego dnia, w sześć lat po tym, jak natrafiły na siebie w stanie Montana i zostały parą, łącząc swoje zasoby, Priscilla oznajmiła, że od pewnego czasu bierze zastrzyki hormonalne wywołujące zarost na twarzy i pogrubienie głosu. W dalszych planach miała chirurgiczne usunięcie piersi i przekształcenie się w mężczyznę. Przyznała się, że w sekrecie marzyła o tym od dawna i że nie ma zamiaru wycofać się z podjętych decyzji, choćby ją Pegeen nie wiem jak błagała. Nazajutrz rano Pegeen opuściła ich wspólnie wynajmowany dom, zabierając z sobą jednego z dwóch kotów – „Dla biednych kotów to

musiał być straszny cios, ale co zrobić”, powiedziała – i zainstalowała się w pobliskim motelu. Z największym trudem prowadziła dalej zajęcia na uczelni. Od samotności życia z Priscillą, od bólu porzucenia, jeszcze gorsza, znacznie gorsza, była natura zdrady. Pegeen bezustannie płakała i pisała jeden po drugim listy do college’ów odległych od Montany o setki mil, poszukując nowego miejsca pracy. Udała się na konferencję wyższych uczelni, połączoną z castingiem specjalistów od nauki ochrony środowiska, i zdobyła posadę na Wschodzie, przespawszy się z panią dziekan, która straciła dla niej głowę i zaraz zaproponowała etat. Pani dziekan wciąż była wierną protektorką i wielbicielką Pegeen, w czasie gdy odwiedziła ona Axlera i doszła do wniosku, że po siedemnastu latach miłości lesbijskiej ma chęć na mężczyznę – na tego właśnie mężczyznę, tego aktora, o dwadzieścia pięć lat od niej starszego i z dawien dawna zaprzyjaźnionego z jej rodzicami. Skoro Priscilla mogła stać się heteroseksualnym mężczyzną, to Pegeen mogła stać się heteroseksualną kobietą.

Pierwszego popołudnia Axler, wprowadzając Pegeen do domu, potknął się o szeroki kamienny próg i upadł, raniąc dotkliwie poduszkę dłoni, którą się instynktownie podparł.

– Gdzie masz apteczkę? – spytała Pegeen.

Dowiedziawszy się gdzie, weszła do środka, znalazła co trzeba, przemyła ranę wodą utlenioną za pomocą wacika i zalepiła dwoma plastrami z opatrunkiem. Przy okazji przyniosła Axlerowi szklankę wody. Od dawna nikt nie podał mu szklanki wody.

Zaprosił ją wtedy na kolację. Koniec końców, to ona sama ją przyrządziła. Nikt mu od dawna nie zrobił kolacji. Gotując, popijała piwo z butelki, Axler zaś siedział przy stole i obserwował jej krzątanie. W lodówce był kawałek parmezanu, parę jajek, skrawek bekonu i pół pojemniczka śmietany – w sam raz, jak się okazało, żeby na bazie funta makaronu przyrządzić spaghetti à la carbonara. Axler przypomniał sobie Pegeen jako oseska, śledząc teraz jej ruchy w swojej kuchni, gdzie zachowywała się jak u siebie w domu. Była wyrazistą osobowością, solidną, wysportowaną, tryskającą energią – Axler bardzo szybko przestał się przy niej czuć osamotnionym beztalenciem. Poczuł się szczęśliwy – jakże niespodziewanie. Zazwyczaj właśnie w porze kolacji dopadała go najgorsza chandra. Zostawiwszy Pegeen na chwilę przy kuchni, przeszedł do salonu i nastawił Schuberta w wykonaniu Brendla. Nawet już nie umiał sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz słuchał muzyki – która w złotym okresie jego małżeństwa rozbrzmiewała w domu non stop.

– Co się stało z twoją żoną? – spytała Pegeen, gdy już zjedli spaghetti i wypili do spółki butelkę wina.

– Mniejsza o to. Nudny temat.
– Długo już mieszkasz tutaj sam, bez nikogo?
– Dostatecznie długo, żeby zaznać samotności, jakiej istnienia nawet nie podejrzewałem. Sam się człowiek nieraz dziwi, siedząc tak miesiącami przez kolejne pory roku, że gdzieś tam wszystko dzieje się bez niego. Jakby już umarł.

– A co z aktorstwem? – zapytała.

– Już nie gram.

– Być nie może! Co się stało?

– Szkoda gadać, następny nudny temat.

– Odszedłeś na emeryturę czy coś ci się przydarzyło?

Wstał, obszedł stół dookoła, wtedy ona też się podniosła, i pocałował ją.

Uśmiechnęła się ze zdziwieniem. I ze śmiechem powiedziała:

– Jestem seksualną anomalią. Sypiam z kobietami.

– Nietrudno było się domyślić.

Pocałował ją jeszcze raz.

– No więc czym się zajmujesz? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Żebym to ja wiedział. Nigdy nie żyłaś z mężczyzną?

– W czasie studiów.

– A teraz jesteś z jakąś kobietą?

– Tak jakby – odpowiedziała. – A ty?

– Nie.

Zbadał palcami siłę jej dobrze umięśnionych ramion, zważył w dłoniach jej ciężkie piersi, ścisnął jej twarde pośladki, przyciągając ją do siebie – i znów się pocałowali. Potem poprowadził ją do salonu, na kanapę, gdzie, rumieniąc się okrutnie pod jego spojrzeniem, rozpięła dzinsy i po raz pierwszy od czasu studiów zadała się z mężczyzną. On zaś po raz pierwszy w życiu zadał się z lesbijką.

Minęły miesiące, zanim ją zagadnął:

– Jak to się stało, że przyjechałaś do mnie wtedy po południu?

– Chciałam sprawdzić, czy ktoś z tobą mieszka.

– A jak już sprawdziłaś?

– To pomyślałam: Właściwie czemu nie ja?

– Zawsze jesteś taka wyrachowana?

– To nie jest wyrachowanie. To jest robienie tego, na co ma się ochotę. I – dodała po chwili – nierobienie tego, na co już się nie ma ochoty.

Pani dziekan, która ją ściągnęła na etat do Prescott, wpadła w szal, gdy Pegeen powiedziała jej, że z nią zrywa. Była o osiem lat od Pegeen starsza, zarabiała dwukrotnie więcej od niej, urząd dziekana piastowała od ponad dziesięciu lat, nic więc dziwnego, że nie przyjęła zerwania do wiadomości i nie zamierzała na nie pozwolić. Zaczęła wydzwaniać do

Pegeen dzień w dzień z samego rana, a wielokrotnie dzwoniła także nocą, aby jej nawymyślać i zażądać wyjaśnień. Raz nawet zatelefonowała z miejscowego cmentarza, po którym „miotła się w furii” z racji tego, jak ją potraktowała Pegeen. Oskarżała niewierną kochankę o wykorzystanie jej w celu zdobycia pracy i oportunistyczne porzucenie po kilku zaledwie tygodniach od objęcia posady. Gdy Pegeen zapisała się do sekcji pływackiej, w której trenowała dwa razy w tygodniu w późnych godzinach wieczornych, dziekan zaczęła właśnie w tych godzinach przychodzić na basen i zawsze zajmowała szafkę obok Pegeen. Stale ją na coś zapraszała przez telefon, a to do kina, a to na wykład, a to na koncert, a to na bankiet. Co drugi dzień nagabywała telefonicznie o spotkaniu w najbliższy weekend. Pegeen od początku jednak postawiła sprawę jasno: weekendy ma zajęte i w ogóle nie zamierza wznawiać tych spotkań. Dziekan próbowała wszystkimi metodami, i prośbą, i groźbą, nawet płaczem. Zaklinała się, że nie może żyć bez Pegeen. Silna, inteligentna, ambitna czterdziestoosmioletnia kobieta o dynamicznym usposobieniu, szykowana na następczynię rektora – a jak łatwo dała się wytrącić z równowagi!

Którejś niedzieli zadzwoniła do domu do Axlera i spytała, czy może rozmawiać z Pegeen Stapleford. Axler odłożył słuchawkę na bok i przeszedł do salonu poinformować Pegeen, że jest do niej telefon.

– Kto to może dzwonić? – spytał.

Pegeen nie miała wątpliwości.

– A któż by inny, jak nie ona? Louise. Skąd ona wie, gdzie ja jestem? Skąd miała twój numer?

Axler wrócił do telefonu i oznajmił:

– Tutaj nie ma żadnej Pegeen Stapleford.

– Dziękuję – powiedziała tamta osoba i rozłączyła się.

Potem w tygodniu Pegeen wpadła na Louise na terenie kampusu. Louise oświadczyła jej, że wyjeżdża na dziesięć dni, ale po powrocie spodziewa się „jakiegoś miłego gestu” ze strony Pegeen, na przykład zaproszenia na domową kolację. Po tej rozmowie Pegeen zaczęła się bać, po pierwsze tego, że Louise nie daje jej spokoju pomimo jasnej deklaracji o zerwaniu, a po drugie tego, czym mogła grozić złość Louise.

– Na przykład czym może ci zagrozić? – spytał Axler.

– Jak to czym? Utratą pracy. Ta kobieta może mi bezgranicznie nabruździć, jeśli się zaważmie.

– No ale ty masz mnie, prawda?

– To znaczy?

– Że możesz na mnie polegać. Jestem tutaj.

Był on. Była ona. Skala możliwości zmieniła się dramatycznie.

Pierwszym artykułem garderoby, który dla niej kupił, była krótka, dopasowana skórzana kurteczka w kolorze beżowym, podbita barankiem, którą zobaczył na wystawie w miasteczku dla bogaczy, oddalonym o dziesięć mil jazdy przez las od jego domu. Wszedł do sklepu i bez wahania kupił kurtkę, trafnie odgadując rozmiar Pegeen. Kosztowała tysiąc dolarów. Pegeen jeszcze nigdy w życiu nie miała nic tak drogiego, i w niczym dotąd nie wyglądała tak dobrze. Axler powiedział jej, że to prezent na urodziny, kiedykolwiek wypadają. Przez kilka pierwszych dni Pegeen prawie nie zdejmowała kurtki. Potem wybrali się do Nowego Jorku, pod pozorem pójścia do jakiejś lepszej restauracji, do kina, i wyrwania się wspólnie na weekend – i tam znów nakupował jej ciuchów; z końcem weekendu jej garderoba wzbogaciła się o wartą pięć tysięcy dolarów kolekcję spódnic, bluzek, pasków, zakietów, butów, swetrów oraz garsonek, w których wyglądała zupełnie inaczej niż w tym, co z sobą i na sobie przywiozła na wschód z Montany. Kiedy stanęła po raz pierwszy w jego drzwiach, nie miała w szafie prawie nic, czego nie mógłby włożyć szesnastoletni chłopak – zresztą dopiero teraz pomału ztracała ruchy szesnastolatka. Gdy buszowali po nowojorskich sklepach, zniknęła z czymś nowym w przymierzalni, po czym przebrana wychodziła, żeby pokazać się Axlerowi i poznać jego opinię. Skrępowanie opuściło ją po

pierwszych paru godzinach – potem szła już na żywioł, a pod koniec wybiegała kokieteryjnie z przymierzalni, promieniejąc z zachwytem.

Kupował jej korale, bransoletki, kolczyki. Kupował luksusową bieliznę, która miała zastąpić sportowe staniki i szare majtki. Kupował krótkie satynowe koszulki w miejsce flanelowych piżam. Kupił jej dwie pary kozaków, brązowe i czarne. Jedyne swój płaszcz odziedziczyła Pegeen po zmarłej matce Priscilli. Był stanowczo za duży, a w dodatku miał formę pudła, toteż Axler w ciągu kilku miesięcy z upodobaniem nabywał dla Pegeen płaszcze o korzystnym dla jej figury kroju – nabył ich w sumie pięć. Nabyłby i sto. Nie umiał się powstrzymać. Żyjąc samotnie, nie wydawał na siebie prawie nic, za to teraz czuł się najszczęśliwszy w świecie, mogąc zmieniać nie do poznania prezencję Pegeen. Ją też niebawem zaczęło to niezmiernie uszczęśliwiać. Trwająca miesiącami orgia beztroskiej rozrzutności odpowiadała im obojgu.

A jednak Pegeen nie chciała, żeby jej rodzice dowiedzieli się o romansie. Byłoby to dla nich zbyt bolesne. Bardziej bolesne niż wiadomość, że jesteś lesbijką? – spytał ją w duchu. Opowiadała mu, jak wyglądał ten pamiętny dzień; miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Matka rozplakała się i powiedziała: „Nic gorszego nie umiem sobie wyobrazić”, ojciec natomiast udał, że akceptuje sytuację, ale nie uśmiechał

się potem miesiącami. Trauma w domu trwała jeszcze długo po deklaracji Pegeen.

– A czemu mieliby się zmartwić wiadomością o mnie? – zapytał ją.

– Bo znają cię od dawna. Bo jesteście w jednym wieku.

– To rób, jak chcesz – skapitulował.

Ale długo jeszcze roztrząsał w myślach jej motywację. Może ma zwyczaj dzielić swoje życie na odizolowane segmenty i nigdy nie miesza wątku kochanki z wątkiem córki; może nie chce, żeby jej zobowiązania wobec rodziców skaziły lub skonwencjonalizowały sferę seksu. Może jest to dla niej jakoś żenujące, że przerzuciła się z sypiania z kobietami na sypianie z mężczyzną, może nie jest pewna, czy ta zmiana będzie trwała. Bez względu jednak na to, co nią kierowało, miał głębokie przekonanie, że błędem było pozwolić jej utrzymać ich związek w sekrecie przed rodzicami. Był za stary, żeby nie czuć, że rola potajemnego kochanka go kompromituje. Nie rozumiał też, jak czterdziestoletnia kobieta może się aż do tego stopnia przejmować tym, co powiedzą rodzice, zwłaszcza gdy wcześniej robiła w życiu mnóstwo rzeczy, których rodzice nie pochwalali, i miała w nosie ich opinie. Nie podobało mu się to jej zachowanie nielicujące z wiekiem, ale nie nalegał, przynajmniej na razie, toteż rodzice Pegeen żyli w przeświadczeniu, że córka wie dzie swój zwy-

czajny tryb życia, podczas gdy ona w istocie z miesiąca na miesiąc, pomału, lecz naturalnie, zatracala – tak przynajmniej mu się zdawało – ostatnie widome oznaki stanu, o którym obecnie mówiła „moja siedemnastoletnia pomyłka”.

Niemniej jednak któregoś ranka przy śniadaniu Axler, ku zdziwieniu Pegeen, ale i własnemu, zapytał:

– Czy to jest to, czego istotnie pragniesz, Pegeen? Bo chociaż tak nam dobrze razem, i wielki jest urok nowości tego, co się dzieje, i wielkie jest nasze uczucie, i wielka przyjemność zmysłowa, to jednak zastanawiam się, czy wiesz, co robisz.

– Tak, wiem – odpowiedziała. – Uwielbiam to, i nie chcę przestać.

– Ale rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak. Kwestię wieku. Sprawy mojej przeszłości seksualnej. Twój związek z moimi rodzicami. Może jeszcze ze dwadzieścia innych rzeczy. I mam je wszystkie w nosie. A ty nie masz ich w nosie?

– Czy nie byłoby sensowniej, zanim ktoś komuś złamie serce, jednak się wycofać?

– Nie jesteś szczęśliwy?

– Od kilku lat żyję w wielkiej niepewności. Czuję, że nie miałbym siły znieść zawodu. Poznałem na własnej skórze, co znaczy nieudane małżeństwo, a wcześniej dość narozstawałem się z kobietami. To zawsze boli, zawsze rani, nie chciałbym się narażać

na kolejne takie doświadczenia na tym etapie życia.

– Simon – odrzekła na to. – Oboje zostaliśmy porzuceni. Ciebie, gdy byłeś w skrajnym załamaniu nerwowym, żona zostawiła na pastwę losu. A mnie zdradziła Priscilla. Porzuciła nie tylko mnie, ale i to ciało, które kiedyś kochałam – aby stać się wąsatym mężczyzną o imieniu Jack. Jeżeli nam dwojgu się nie uda, to niech to będzie nasza własna wina, a nie ich, nie twojej ani mojej przeszłości. Nie chcę cię namawiać na ryzyko – a wiem, że to jest ryzyko. Dla każdego z nas, mówiąc szczerze. Ja też czuję, że idę na ryzyko. Inne, oczywiście, niż w twoim przypadku. Ale najgorsze byłoby teraz, gdybyś się ode mnie odsunął. Nie zniosłabym tego. Oczywiście zniosę, jeśli trzeba będzie, ale co do ryzyka – już zostało podjęte. Już w nim tkwimy. Za późno jest, żeby bronić się ucieczką.

– Mówisz mi, że nie chcesz się wycofywać, chociaż to właśnie należałoby zrobić?

– Bynajmniej. Ja ciebie pragnę, zrozum. Uwierzyłam, że jesteś mój. Nie odsuwaj się ode mnie. Uwielbiam to, co robimy, i nie chcę przestać. Nic innego nie mam do powiedzenia. Tylko to, że spróbuję, jeżeli ty spróbujesz. To już nie jest przelotny romanśik.

– Podjęliśmy ryzyko – powtórzył jak echo.

– Podjęliśmy ryzyko.

Dwa słowa oznaczające, że byłoby dla niej nie-

znośne, gdyby on ją porzucił. Powie teraz absolutnie wszystko, pomyślał sobie, zniży się nawet do języka seriali telewizyjnych, byleby go zatrzymać – a to dlatego, że wciąż, po tylu miesiącach, boli ją historia z Priscillą i ultimatum Louise. To nie jest wyrachowanie z jej strony – to właściwy nam wszystkim instynkt strategiczny. Ale kiedyś przyjdzie ten dzień, myślał dalej Axler, w którym okoliczności jej dadzą siłę do zerwania, mnie zaś osłabią, tylko za to, że teraz jestem zbyt miękki, żeby powiedzieć koniec. A kiedy ona będzie silna, a ja słaby, zadany cios okaże się nie do zniesienia.

Miał przekonanie, że jasno widzi przyszłość, a zarazem nie może uczynić nic, by zmienić perspektywę. Zanadto był szczęśliwy, żeby ją zmieniać.

Przez tych kilka miesięcy zapuściła włosy prawie do ramion, gęste, kasztanowe, z naturalnym połyskiem, i zaczynała myśleć o ponownym ścięciu ich na krótko, po męsku, tak jak lubiła przez całe dorosłe życie. W któryś weekend przyjechała z plikiem pism wypełnionych zdjęciami rozmaitych fryzur – pism, z jakimi on jeszcze nigdy się nie zetknął.

– Skąd je wzięłaś? – zapytał.

– Studentka mi przyniosła – odpowiedziała.

Siedzieli razem na kanapie w salonie; Pegeen wertowała pisma, zaginając rogi stronic, na których wid-

niały fryzury w jej guście. W końcu wspólnie ograniczyli wybór do dwóch, Pegeen wydarła wytypowane stronice, on zaś zadzwonił do znajomej aktorki z Manhattanu, żeby się dowiedzieć, gdzie najlepiej ściąć włosy – do tej samej aktorki, która wcześniej doradziła mu, dokąd zabrać Pegeen na zakupy odzieżowe i gdzie nabyć dla niej biżuterię.

– Chciałabym mieć takiego dzianego tatunia – westchnęła aktorka.

On jednak wcale się takim nie widział. W swoim mniemaniu dopomagał tylko Pegeen w stawaniu się kobietą atrakcyjną dla niego, a nie dla innej kobiety. Pracowali nad tym oboje.

Pojechał z nią do drogiego fryzjera w rejonie East Sixties. Postrzyżyn dokonała młoda Japonka, starannie obejrzawszy wpiery oba przyniesione przez nich zdjęcia. Nigdy jeszcze nie widział Pegeen tak bezbronnej, jak na fryzjerskim fotelu przed lustrem, gdy umyto jej włosy. Milcząca, potulna, na skraju upokorzenia, niezdolna wręcz do spojrzenia na własne odbicie, sprawiła, że akt obcięcia jej włosów ukazał mu się nagle w zupełnie nowym świetle, rozpalając na nowo nieufność i budząc wątpliwość, która już nieraz go nachodziła: czy przypadkiem nie ulega piramidalnej i desperackiej iluzji? Co przyciągać może taką kobietę do mężczyzny doznającego samych strat? Czy on nie zmusza jej, by udawała kogoś, kim nie jest? Czy nie przebiera jej w obce

kostiumy, tak jakby droga spódnica mogła zasłonić blisko dwie dekady pulsującej życiem przeszłości? Czy nie zniekształca jej postaci, okłamując sam siebie i trzymając się kłamstwa, które w ostatecznym rachunku na pewno nie okaże się niewinne? A jeżeli ostatecznie wyjdzie na jaw, że nie był niczym więcej niż chwilowym męskim przerywnikiem w pewnej lesbijskiej biografii?

Lecz oto lśniące, kasztanowe włosy Pegeen były już obcięte, do długości poniżej nasady karku, wystrzyżone w pazurki, tak że każda warstwa miała inną długość, co nadawało Pegeen wygląd wyzywająco niechłujny – a transformacja była tak totalna, że wszystkie jego kłopotliwe pytania pierzchły w mgnieniu oka, jakby nigdy nie były godne głębszego namysłu. Ona nieco dłużej od niego dochodziła do przekonania, że wspólnie dokonali słusznego wyboru, ale już po paru dniach nowa fryzura, wraz ze wszystkim, co oznaczała, a mianowicie udzielonym mu pozwoleniem na kształtowanie Pegeen, na stanowienie o jej wyglądzie i lansowanie idei jej prawdziwego życia, zyskała, jak się zdawało, nawet więcej niż akceptację. Być może przez to, że tak świetnie wyglądała w jego oczach, Pegeen nie buntowała się przeciwko dalszemu podporządkowaniu się jego kierownictwu, jakkolwiek obce mogło się to zdawać jej wrodzonej samowoli. O ile to rzeczywiście jej wola została podporządkowana – o ile to nie ona jego

w istocie zawojowała doszczętnie, porywając i ubezwłasnowolniając.

Późnym popołudniem pewnego piątku Pegeen przyjechała do niego przybita – do jej rodziny w Lansing dzwoniła o północy Louise, aby poskarżyć się, jak oportunistycznie została wykorzystana i zdradzona przez ich córkę.

– Coś jeszcze? – spytał, usłyszawszy to.

Pegeen o mało się nie rozplakała.

– Powiedziała im o tobie. Że z tobą mieszkam.

– I co oni na to?

– Telefon odebrała matka. On spał.

– No i jak matka to przyjęła?

– Zapytała mnie, czy to prawda. Odpowiedziałam, że z tobą nie mieszkam. Że zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– A twój ojciec?

– W ogóle nie podszedł do telefonu.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podła suka! Czemu ona się wreszcie ode mnie nie odczepi! – rozkrzyczała się Pegeen.

– Opętana, zaborcza, zazdrosna, przeżarta nienawiścią suka!

– Naprawdę takie to dla ciebie ważne, że powiedziała twoim rodzicom?

– A dla ciebie nie?

– Tylko o tyle, o ile martwi ciebie – odpowiedział.

– Poza tym wcale. Uważam wręcz, że dobrze się stało.

– Co mam powiedzieć ojcu, jak z nim będę rozmawiać?

– Pegeen Mike... powiedz mu, co chcesz.

– A jak on postanowi się do mnie więcej nie odzywać?

– Wątpię, żeby tak postanowił.

– A jak zechce rozmawiać z tobą?

– To porozmawiamy.

– Myślisz, że jest bardzo zły?

– Twój ojciec jest rozsądnym i myślącym facetem.

Dlaczego miałby być zły?

– Och, ta wredna suka, kompletnie jej odbiło.

Straciła samokontrolę.

– Tak, widocznie myśl o tobie jest dla niej torturą. Ale ty nie straciłaś samokontroli, ja także nie, ani twoja matka, ani twój ojciec.

– Więc czemu ojciec nie chciał ze mną rozmawiać?

– Skoro cię to tak gnębi, to sama do niego zadzwoń i zapytaj. A może chcesz, żebym ja z nim pogadał?

– Nie, lepiej ja, wolę sama.

Odkładała ten telefon aż do po kolacji, a gdy wreszcie zadzwoniła do Lansing, to ze swojego pokoju, zamknąwszy drzwi. Po kwadransie wyszła stamtąd zapłakana, wyciągając słuchawkę do Axlera.

Przejął od niej telefon.

– Asa? – rzekł. – Halo?
– No, cześć. Podobno uwiodłeś moją córkę.
– Mam z nią romans, to prawda.
– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to trochę nie zdziwiło.
– No cóż – odparł Axler ze śmiechem. – Prawdę mówiąc, mnie tak samo.
– Jak mówiła, że jedzie cię odwiedzić, do głowy mi nie przyszło, że to takie kwiatki.
– Najważniejsze, że ci to nie przeszkadza – odrzekł Axler.
Asa przez chwilę milczał, zanim odpowiedział.
– Pegeen jest wolna. Dawno przestała być dzieckiem. Wiesz co, Carol chciałaby się z tobą przywitać. To rzekłszy, oddał telefon żonie.
– Ładne rzeczy, ładne rzeczy – zaczęła Carol. – I kto to mógł pomyśleć, jak wszyscy troje byliśmy dziećmi w Nowym Jorku?
– Nikt – przyznał Axler. – Ja nie pomyślałem nawet w dniu, w którym się tutaj zjawiła.
– Czy moja córka postępuje słusznie? – spytała go Carol.
– Sądzę, że tak.
– Jakie masz plany?
– Nie mam planów.
– Pegeen zawsze nas zaskakiwała.
– Mnie też zaskoczyła. Zdaje mi się, że sama jest nie mniej zaskoczona tym, co się dzieje.

– W każdym razie na pewno zaskoczyła swoją przyjaciółkę Louise.

Darował sobie uwagę, że Louise sama postępuje dość zaskakująco. Czuł, że Carol bardzo się stara utrzymać ton łagodny i przyjacielski, lecz z napięcia w jej głosie wywnioskował, że cała ta rozmowa jest dla niej wielką traumą i że oboje z Asą z wysiłkiem robią to, co uważają za słuszne, czyli jak zwykle okazują zdrowy rozsądek, mając na względzie szczęście Pegeen. Nie chcieli zrazić do siebie czterdziestoletniej córki, tak jak ją sobie zrazili, gdy jako dwudziestotrzylatka zakomunikowała im, że jest lesbijką.

Carol w najbliższą sobotę przyleciała nawet z Michigan do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z Pegeen przy lunchu. Pegeen wyjechała samochodem do miasta z samego rana, a wróciła około ósmej wieczorem. Kolację w domu przygotował więc on i dopiero po kolacji spytał, jak poszło spotkanie.

– Co mówiła?
– Mam odpowiedzieć szczerze? – upewniła się Pegeen.
– Jeśli łaska.
– Proszę bardzo. Postaram się odtworzyć wszystko jak najdokładniej. W sumie, był to łagodny przypadek trzeciego stopnia. Zero grubiaństwa, zero urażonej dumy. Tylko prosta kansaska matczyzna szczerłość.

- Słucham dalej.
- Chcesz dowiedzieć się wszystkiego.
- Tak – potwierdził.

– Może zacznę od tego, że w restauracji przeszła obok stolika, przy którym siedziałam, i nie poznała mnie. Zawołałam: „Mamo”, i dopiero wtedy się odwróciła, i powiedziała: „Rany boskie, to przecież moja córka. Ale ty ślicznie wyglądasz”. Na to ja spytałam: „Ślicznie? A przedtem ci się nie podobałam?”. A ona dalej swoje: „Nowa fryzura, i te ubrania, nigdy takich u ciebie nie widziałam”. Podpowiedziałam jej: „Uważasz, że bardziej kobiece”. „Zdecydowanie tak” – przyznała. „Bardzo korzystna zmiana. Jak długo to już trwa?” Odpowiedziałam, a ona: „Co za twarzowe uczesanie. Fryzjer musiał cię kosztować krocie”. Ja na to: „Eksperymentuję z nowością”. Podchwyciła natychmiast: „Mam wrażenie, że eksperymentujesz z niejedną nowością. Przyjechałam tylko, żeby się upewnić, że wszystko gruntownie przemyślałaś i jesteś świadoma wszelkich możliwych konsekwencji swojego romansu”. Odpowiedziałam, że chyba mało kto przemyśliwuje gruntownie sytuacje romantyczne. Jak na razie, dodałam, jestem w tym związku bardzo szczęśliwa. A ona mi na to: „Doszły nas słuchy, że on przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Jedni mówią, że pół roku, inni że rok, nie wiem dokładnie, jak to tam było”. Poinformowałam ją, że spędziłeś w szpitalu dwadzieścia sześć dni, dokładnie dwanaście

miesiący temu, i że miało to związek z kłopotami podczas występów scenicznych. Uściśliłam, że na pewien czas utraciłeś zdolność grania, a pozbawiony jej tak nagle, załamałeś się. Dodałam, że żadne problemy emocjonalne czy psychiczne, jakie przeżywałeś w przeszłości, nie dają o sobie znać w naszym obecnym wspólnym życiu. Że jesteś zdrowy, a nawet zdrowszy niż wszyscy ludzie, z którymi dotąd miałam do czynienia, i że kiedy jesteśmy razem, sprawiasz wrażenie zrównoważonego i zadowolonego z życia. Wtedy ona spytała: „Ale te jego kłopoty ze sceną trwają nadal?”. „I tak, i nie” – odpowiedziałam. „Trwają, ale nie są już dla niego tragedią, odkąd spotkał mnie. Teraz przyrównałabym go do kontuzjowanego sportowca, odstawionego na boczny tor i cierpliwie oczekującego skutków rekonwalescencji”. Na to ona: „Ale ty nie masz poczucia, że powinnaś go ocalić, prawda?”. Zapewniłam ją, że nie mam. Wówczas spytała, czym obecnie wypełniasz swój czas, na co odpowiedziałam: „Zajmuje się mną. Przypuszczam, że planuje w dalszym ciągu zajmować się mną. Czyta. Kupuje mi ciuchy”. No, żebyś widział, jak na to podskoczyła! „Więc te ubrania on ci kupił, tak? Czułam, że za tym się kryją jakieś fantazje o ocaleniu i poświęceniu”. Odpowiedziałam, że stanowczo przesadza, bo my oboje po prostu świetnie się bawimy, i najlepiej byłoby przyjąć to do wiadomości i na tym poprzestać. Dodałam: „On nie próbuje wywierać na mnie żadnego wpływu, ja-

kiego bym sobie nie życzyła”. Ale ona drążyła dalej: „A ty z nim chodzisz kupować te ubrania?”. „Zwyczaj tak” – odpowiedziałam. „Ale to przede wszystkim jemu dobrze robi. Widzę to po nim. A ponieważ tak się składa, że i ja mam chęć kontynuować ten eksperyment, więc nie rozumiem, czemu ktoś miałby się o mnie martwić”. Od tej chwili ton rozmowy radykalnie się zmienił. „No to wiedz, że ja się o ciebie martwię” – oświadczyła ona. „Nie masz doświadczenia ze światem mężczyzn i wydaje mi się to bardzo dziwne... no, może nie tak bardzo... że do inicjacji w ten nowy dla siebie świat wybrałaś mężczyznę o dwadzieścia pięć lat od siebie starszego, na dodatek po kryzysie psychicznym, z racji którego był zamknięty w specjalistycznym zakładzie. Co więcej, na dobrą sprawę, obecnie bezrobotnego. Wszystko to razem nie wygląda mi różowo”. Odpowiedziałam, że sytuacja na pewno nie jest gorsza od tej, w której tkwiłam poprzednio, u boku osoby, którą niegdyś bardzo kochałam, a która mi pewnego ranka oświadczyła: „Nie wytrzymam dłużej w tym ciebie”, i postanowiła zostać mężczyzną. Następnie wygłosiłam mowę, którą sobie zawczasu przygotowałam i przeciwiczyłam podczas jazdy do miasta. Powiedziałam tak: „Jeśli chodzi o jego wiek, mam, nie widzę problemu. Skoro chcę sprawdzić, czy jestem pociągająca dla mężczyzn, a zarazem dowiedzieć się, czy mnie pociągają mężczyźni, to chyba nie mogłam sobie wybrać lepszego pro-

bierza. Ten człowiek jest moim polem doświadczalnym. Dzielać nas różnicę dwudziestu pięciu lat pojmuję jako dwadzieścia pięć lat doświadczenia więcej, niż miałby go mój rówieśnik. Nie mówimy przecież o małżeństwie. Już ci tłumaczyłam – my po prostu cieszymy się sobą nawzajem. Ja cieszę się nim między innymi dlatego, że jest ode mnie o dwadzieścia pięć lat starszy”. Na to matka: „A on cieszy się tobą, bo jesteś o dwadzieścia pięć lat młodsza”. „Nie obraż się, mam, ale czy ty przypadkiem nie jesteś zazdrosna?” Roześmiała się. „Moja kochana, ja mam sześćdziesiąt trzy lata i od przeszło czterdziestu żyję w szczęśliwym małżeństwie z twoim ojcem. Chociaż jest prawdą – dodała – która to prawda może ci się wydać pikantna, że gdy grałam w sztuce Synge’a Pegeen Mike, a Simon Christy’ego, miałam na niego chrapkę. Kto zresztą nie miał? Simon Axler był zabójczo przystojny, energiczny, żywiołowy, dowcipny, a w dodatku był aktorem co się zowie, świetnym aktorem, który już wtedy swoim talentem przerastał nas wszystkich. Więc owszem, miałam na niego chrapkę, ale byłam już mężatką, i to w ciąży z tobą. Zauroczenie Simonem samo mi przeszło. Od tamtych czasów widziałam go najwyżej z dziesięć razy. Jako aktora szanuję go niezmiernie. Ale nie daje mi spokoju ten jego pobyt w szpitalu. Dużo trzeba, żeby człowiek dobrowolnie poddał się hospitalizacji w zakładzie psychiatrycznym, nieważne, czy na dłużej, czy na kró-

cej. Zrozum, dla mnie ważne jest tylko, żebyś nie brnęła w to na ślepo. Żebyś przez brak doświadczenia nie popełniła głupstwa godnego dwudziestolatki. Żebyś nie okazała się naiwnym niewiniątkiem”. Na to odpowiedziałam: „Niewiniątkiem to ja na pewno nie jestem, mamó”. I spytałam, czego właściwie się obawia – co takiego, jej zdaniem, może mi się przytrafić, a innym kobietom raczej nie. „Czego właściwie się obawiam?” – powtórzyła. „Obawiam się tego, że on staje się z każdym dniem coraz starszy. To nieuniknione. Najpierw ma się sześćdziesiąt pięć lat, potem sześćdziesiąt sześć, potem sześćdziesiąt siedem, i tak dalej. I ani się obejrzyś – już siedemdziesiątka. Będiesz związana z siedemdziesięcioletnim starcem. I nie koniec na tym. On potem będzie miał siedemdziesiąt pięć lat. I dalej będzie się starzał. Z dnia na dzień. Zacznie mieć problemy zdrowotne typowe dla osób w podeszłym wieku, i oby nie gorsze, a odpowiedzialność za opiekę nad nim spadnie na ciebie. Czy ty jesteś w nim zakochana?” – spytała na koniec. Odpowiedziałam, że tak mi się zdaje. „A on, jest w tobie zakochany?” Na to też odpowiedziałam, że tak mi się zdaje. I dodałam: „Dam sobie radę, mamó. Uświadomiłaś mi, że on ma więcej niż ja powodów do obaw. Dla niego ta sytuacja jest bardziej ryzykowna niż dla mnie”. „Jak to?” – zdziwiła się. „No bo, jak sama stwierdziłaś, ja próbuję tutaj czegoś nowego. Dla niego, co prawda, też jest to nowość, jed-

nak nie aż tak wielka jak dla mnie. Zaskoczyło mnie, jak znaczną czerpię z niej przyjemność. Ale nie mogłabym przysiąc, że tej nowości nigdy mi się nie odechce”. Matka na to: „Dajmy już spokój, nie chcę rozdmuchiwać sprawy, która być może wcale nie jest aż tak ważka. Po prostu czułam pilną potrzebę spotkania się z tobą i, jeszcze raz powtórzę, jestem pod wrażeniem twojego wyglądu”. Spytałam ją: „Czy patrząc teraz na mnie, znowu myślisz, że wołałabyś mieć córkę heteroseksualną?”. „Myślę – odpowiedziała – że to ty wołałabyś już nie być lesbijką. Zrobisz, oczywiście, jak zechcesz. Nauczyłaś nas tego już za czasów swojej buntowniczej młodości. Trudno mi jednak nie widzieć twojej przemiany fizycznej. Dołożyłaś wszelkich starań, żeby wszyscy ją dostrzegli. Nawet malujesz oczy. To doprawdy imponujące”. Wtedy ją zapytałam: „A jak sądzisz, co pomyśli tata?”. „Nie przyjechał ze mną, bo za parę dni szykuje się premiera nowej sztuki, której nie mógł zostawić. Ale bardzo chciał przyjechać i robi to zaraz po premierze, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Wtedy sama go zapytasz o zdanie. No to tyle. Skoczmy teraz razem na zakupy? Strasznie mi się podobają twoje buty. Gdzie je kupiłaś?” Podałam nazwę sklepu. „Nie przeszkadzałoby ci – spytała – gdybym sobie kupiła takie same? Pojedziesz po nie ze mną?” Wzięłyśmy więc taksówkę na Madison Avenue, gdzie matka nabyła dla siebie dwubarwne, różowo-beżowe czółenka z nos-

kiem w szpic, na niskim obcasiku. Paraduje teraz po Michigan w moich butach od Prady. Spodobała jej się także moja spódnica, więc udałyśmy się do sklepu w SoHo po podobną. Niezłe zakończenie, co? Ale wiesz, co mi powiedziała późnym popołudniem, gdy odjeżdżała na lotnisko z torbami nowych zakupów? Powtórzę ci, bo to właśnie, a nie buty od Prady, jest prawdziwym zakończeniem. Powiedziała mi tak: „Podczas lunchu, Pegeen, przekonywałaś mnie, jak mogłaś, że wdałaś się w najzdrowszy i najrozsądniejszy układ na świecie, chociaż tak oczywiście nie jest. Ale głosy osób z zewnątrz, usiłujące wyperswadować ci to, czego pragniesz codziennie na nowo i co wynosi cię ponad powszechną zwyczajność, mogą cię w tej chwili tylko zirytować. Przyznam, że na pierwszą wieść o twoim związku pomyślałam, że robisz rzecz szaloną i nieroztropną. A teraz, po rozmowie z tobą, po całym dniu spędzonym razem, po wspólnych zakupach, pierwszych, odkąd poszłaś na studia – teraz, kiedy cię zobaczyłam spokojną, racjonalną i rozumnie podchodzącą do sprawy – w dalszym ciągu uważam, że robisz rzecz szaloną i nieroztropną”.

Pegeen zamilkła. Pół godziny zajęło jej zrelacjonowanie rozmowy z matką, a on przez te pół godziny ani się nie odezwał, ani nie wstał z krzesła, ani nie przerwał jej monologu, chociaż kilkakrotnie poczuł, że usłyszał już dość. Nie było jednak w jego interesie przerywać Pegeen – w jego interesie było

dowiedzieć się wszystkiego, wysłuchać do ostatniego słowa, włącznie ze zdaniem: „Ale nie mogłabym przysiąc, że tej nowości nigdy mi się nie odechce”.

– No to tyle. To wszystko – rzekła Pegeen. – Odtworzyłam rozmowę dość wiernie.

– Poszło lepiej czy gorzej, niż oczekiwałaś? – spytał on.

– Znacznie lepiej. Okropnie się denerwowałam, jadąc w tamtą stronę.

– Z tego, co usłyszałam, wnioskuję, że niepotrzebnie. Znakomicie sobie poradziłaś.

– A drugi raz strasznie się denerwowałam, jadąc z powrotem – tym, że mam ci to wszystko powiedzieć i że jeżeli powiem prawdę, nie cała prawda ci się spodoba.

– I znów niepotrzebnie się denerwowałaś.

– Naprawdę? Mam nadzieję, że z powodu tego, co usłyszałaś, nie nabierzesz niechęci do mojej matki.

– Twoja matka powiedziała to, co matka powinna powiedzieć. Rozumiem ją. – Roześmiał się i dodał: – Nie powiem, żebym się z nią nie zgadzał.

Pegeen, rumieniąc się, rzekła ściszym głosem:

– Mam nadzieję, że nie nabierzesz przez to niechęci do mnie.

– Nabrałem dla ciebie podziwu – zapewnił ją. – Nie uchylałaś się przed niczym, ani rozmawiając z matką, ani teraz, relacjonując tę rozmowę mnie.

– Poważnie? Nie czujesz się dotknięty?

– Nie.

Choć przecież, oczywiście, był dotknięty – dotknięty i zły. Przyjął monolog Pegeen w cierpliwym milczeniu – słuchając intensywnie, tak jak słuchał przez całe swoje życie, na scenie i poza sceną – i zabolął go zwłaszcza przedstawiony przez Carol opis starzenia się i niebezpieczeństw, na jakie jego starość naraża jej córkę. Nie pozostał też obojętny – chociaż się z tym nie zdradził – na zwrot: „szalona i nieroztropna”. W sumie odczuł wielki niesmak. Nie byłoby tak źle, gdyby Pegeen miała dwadzieścia dwa lata i była odeń o czterdzieści lat młodsza – ale taki dziwny układ własnościowy z awanturniczo nastawioną czterdziestolatką? Swoją drogą, która, do cholery, czterdziestolatka tak się przejmuje tym, co powiedzą rodzice? Którzy powinni się wręcz cieszyć, że córka właśnie jego sobie wybrała – choćby ze względów czysto materialnych. Trafił się dziany gość, który dobrze o nią zadba. Przecież i ona też nie staje się coraz młodsza. Ustatkowała się przy kimś, kto swoje w życiu osiągnął – co w tym takiego złego? A tymczasem rodzice dają jej wyraźny sygnał: Nie pakuj się w rolę niańki starego wariata.

Lecz Pegeen najwyraźniej nie zgadzała się z matczyną oceną jego osoby, więc Axler wstrzymał się od komentarza na ten temat; w ogóle zmilczał wszystko, co mu się nie podobało w sprawozdaniu Pegeen. Cóż mu mogło przyjść z krytykowania matki

za wtrącanie się w sprawy córki? Lepiej wszystko obrócić w żart. A jeśli jednak kiedyś tak się stanie, że Pegeen ujrzy go oczami swojej matki, to i tak nic się nie da na to poradzić.

– Jesteś dla mnie bardzo dobry – powiedziała Pegeen. – Jak najlepsze lekarstwo.

– A ty dla mnie – odrzekł, definitywnie zamykając temat. Nie dodał: „Co się tyczy twoich rodziców, to chętnie bym ich oszczędził, ale nie mogę przecież organizować sobie życia wedle ich stanów emocjonalnych. Ich stany emocjonalne niewiele mnie, prawdę mówiąc, obchodzą, i nie powinny zbytnio obchodzić również ciebie”. Nie, nie chciał ciągnąć argumentacji w tym kierunku. Wolał zacisnąć zęby i cierpliwie poczekać, aż wpływ rodziców osłabnie.

Następny dzień Pegeen poświęciła na zdzieranie tapet ze ścian swojego pokoju do pracy. Tapety dobierała przed laty Victoria. Axlerowi były one obojętne, ale Pegeen nie mogła na nie patrzeć i poprosiła go o pozwolenie zdarcia ich ze ścian. Odpowiedział, że pokój należy do niej i może w nim robić, co jej się żywnie podoba, podobnie jak w drugiej sypialni na górze, z przyległą łazienką, i w ogóle we wszystkich pomieszczeniach domu. Zapewnił ją, że bez problemu załatwi do roboty malarza, ale ona uparła się ogołocić i pomalować ściany samodzielnie, by w ten sposób potwierdzić swoje prawo własności do pokoju. Cały potrzebny sprzęt miała już

u siebie w domu, więc zwiozła go, aby zacząć robotę zaraz w niedzielę, nazajutrz po tym, jak jej matka, na spotkaniu w Nowym Jorku, zakwestionowała roztropność pomysłu wiązania się z Axlerem. Z dziesięć razy w ciągu dnia zaglądał do pokoju, w którym Pegeen zrywała tapety, i za każdym razem wychodził stamtąd z krzepiącą myślą: nie brałaby się do takiej roboty, gdyby uległa perswazji Carol i myślała go porzucić. Nie robiłaby tego, co robi, gdyby nie zamierzała zostać.

Wieczorem Pegeen pojechała na uczelnię, gdzie następnego dnia miała prowadzić zajęcia od samego rana. Gdy w niedzielę około dwudziestej drugiej zadzwonił telefon, Axler był pewien, że to Pegeen chce go zawiadomić, że bezpiecznie dojechała do domu. Ale to nie była Pegeen. To była narwana pani dziekan.

– Miej się pan na baczności, panie Sławny. Ona jest seksowna i odważna, ale też kompletnie pozbawiona skrupułów, zimnokrwista, niewiarygodnie samolubna i skrajnie amoralna.

To rzekłszy, dziekan rozłączyła się.

Rano Axler oddał samochód do warsztatu, a mechanik odwiózł go do domu furgonetką pomocy drogowej. Auto Axlera obiecał odstawić pod wieczór, gdy zrobi przy nim wszystko, co potrzeba. Około

południa Axler wszedł do kuchni, żeby sobie zrobić kanapkę, wyrzwał machinalnie przez okno i zobaczył, że coś przemyka przez łąkę w kierunku stodoły i znika za jej węgłem. Tym razem była to postać ludzka, nie opos. Axler cofnął się od okna i wyglądał dalej, chcąc się przekonać, czy poza tą jedną postacią nie ma w ukryciu jeszcze drugiej, i trzeciej, i czwartej. W ostatnich miesiącach w całym hrabstwie nasiliła się plaga włamań, głównie do pozamykanych domów, użytkowanych przez właścicieli tylko w weekendy, więc Axler zaniepokoił się, czy przypadkiem brak samochodu na podjeździe nie ośmielił włamywaczy do podjęcia próby rabunku za dnia. Pobiegł na strych po strzelbę i naładował ją. Uzbrojony, wrócił do kuchni, by dalej obserwować przez okno teren posesji. Jakieś sto jardów na północ, przy szosie prostopadłej do jego drogi, dostrzegł zaparkowany samochód, było jednak za daleko, żeby ocenić, czy ktoś siedzi w środku. Niezwykłością był sam widok zaparkowanego w tym miejscu auta, czy to we dnie, czy w nocy – droga miała po jednej stronie gęsto zalesione wzgórze, po drugiej zaś – otwarte łąki, pnące się po stoku ku jego stodołę, wiacie parkingowej i domowi. Nagle postać, która dotąd kryła się za stodołą, wychynęła stamtąd i w paru susach dopadła frontowej ściany domu. Przez kuchenne okno było widać, że jest to wysoka, ruda kobieta w dżinsach i granatowej kurtce typu battledress. Zagląda-

ła przez okno do salonu. Ponieważ Axler wciąż nie był pewien, czy kobieta jest sama, zamarł w bezruchu, ściskając w dłoniach strzelbę. Kobieta zaczęła się przesuwac od okna do okna, jakby chciała dobrze obejrzeć cały pokój. Axler wymknął się na dwór tylnymi drzwiami i, niezauważony, zbliżył się do niej na odległość kilku kroków, gdy patrzyła do środka przez okno od strony południowej.

Mierząc do niej ze strzelby, zapytał:

- Czego pani sobie życzy?
- Och! – Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona.
- Bardzo przepraszam.
- Pani jest sama?
- Tak. Jestem sama. Nazywam się Louise Renner.
- Pani dziekan.
- Właśnie.

Nie wyglądała na dużo starszą od Pegeen, lecz była od niej znacznie wyższa, nieomal wzrostu Axlera, a dumna postawa i gładko zaczesane do tyłu rude włosy, odsłaniające czoło i ściągnięte nad karkiem w ciasny koczek, nadawały jej aurę posągową.

- Czego pani tu właściwie szuka?
- Wiem, że wtargnęłam na teren prywatny. Nie mam złych zamiarów. Sądziłam, że nikogo nie zastanę w domu.
- Była tu pani już kiedyś?
- Tylko przejazdem.
- Po co?

- Mógłby pan opuścić lufę? To mnie peszy.
- To pani pierwsza mnie speszyła, szpiegując przez okna.
- Przepraszam. Bardzo przepraszam. Zachowałam się głupio. Wstyd mi doprawdy. Już pójdę.
- Czego pani szukała?
- Dobrze pan wie.
- Chcę to usłyszeć od pani.
- Chciałam tylko zobaczyć, dokąd ona jeździ co weekend.
- Chyba coś z panią nie tak: przyjechała pani aż z Vermontu tylko po to?
- Przysięgała mi, że zawsze będziemy razem, a w trzy tygodnie potem rzuciła mnie. Jeszcze raz pana przepraszam. Nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałam.
- No i spotkanie ze mną też pewnie pani nie pomogło.
- Nie.
- Obudziło w pani dziką zazdrość – podpowiedział.
- Raczej wściekłość, jeśli chce pan znać prawdę.
- To pani dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem.
- Chwilami nad sobą nie panuję – odpowiedziała.
- To obsesja każe pani dzwonić, zakradać się tutaj. A taka z pani atrakcyjna kobieta.
- Jeszcze nigdy nie powiedział mi tego uzbrojony mężczyzna.

- Nie wiem, czemu ona panią dla mnie rzuciła.
- Naprawdę, nie wie pan?
- Pani jest płomiennowłosą Walkirią, a ja starym facetem.
- Starym g w i a z d o r e m, panie Axler. Niech pan nie zgrywa przede mną skromnisia.
- Zechce pani wejść do środka? – zapytał.
- Po co? Czy mnie też chce pan uwieść? Może to pana specjalność, reorientacja lesbijek?
- Zechce pani łaskawie pamiętać, że to nie ja podglądałem. Nie ja wydzwaniałem o północy do rodziców Pegeen w Michigan. Nie ja telefonowałem wczoraj anonimowo do „Pana Sławnego”. Ten oskarżycielski ton niezbyt pani przystoi.
- Nie panuję nad sobą.
- Sądzi pani, że ona jest tego warta?
- Nie, oczywiście, że nie. Nawet nie jest ładna. I niespecjalnie inteligentna. I niezbyt dojrzała. To osoba skrajnie infantylna, jak na swój wiek. Istny dzieciak. Swoją kochankę z Montany przerobiła na faceta. Ze mnie zrobiła żebraczkę. Kto wie, co zrobi z pana. Zostawia za sobą pobojuwisko. Skąd w niej ta władza?
- Niech pani zgadnie – odparł.
- To byłoby źródłem tragedii? – spytała dziekan.
- Jej seksualność ma w sobie wielką moc – odrzekł i spostrzegł, że struchlała na te słowa. Nie mog-

ło być łatwo tej, która przegrała, stanąć oko w oko ze zwyciężcą.

– Ona cała ma wielką moc – powiedziała dziekan. – Jest dziewczyną i chłopcem. Jest dorosłym dzieckiem. Jest nastolatką, która nigdy nie dojrzała. Jest przewrotnym elfem. Ale sekret tkwi nie w jej seksualności – to my, my sami nadajemy jej władzę niszczenia nas. Pegeen jest nikim, sam pan o tym wie.

– Nie cierpiałyby pani aż tak, gdyby Pegeen była nikim. Ona sama nie znalazłaby się tutaj, gdyby była nikim. Ale, proszę, niechże pani wejdzie do środka. Będzie pani mogła wszystko obejrzeć z bliska.

On zaś dowiedziałby się więcej o Pegeen, chociaż przez pryzmat osoby „wykorzystanej”. Chciał wręcz usłyszeć, co ta osoba powie mu z głębi swojej urazy o najbliższej mu na ziemi istocie.

– Powiedzieliśmy sobie aż nadto.

– Proszę wejść – nalegał.

– Nie.

– Czy pani się mnie obawia?

– Popełniłam głupstwo, za które przepraszam. Wtargnęłam na pański teren, proszę wybaczyć. A teraz chciałabym już odejść, jeśli pan pozwoli.

– Ależ ja wcale pani nie zatrzymuję. Doprawdy, umie pani odwracać kota ogonem. Przecież ja nigdy tu pani nie zapraszałem.

– To dlaczego pan chce, żebym weszła do środka?

Chce zatriumfować i przespać się z kobietą, z którą kiedyś sypiała Pegeen?

– Nie mam takich ambicji. Zadowala mnie obecna sytuacja. Zapraszałem przez grzeczność. Mógłbym panią poczęstować kawą.

– Nie – odparła lodowatym tonem. – Nie, pan chce mnie zerznąć.

– A może to raczej pani chce, żebym ja tego chciał?

– Sam pan chce.

– Przyjechała pani po to, żeby mnie do tego skłonić? Żeby odegrać się na Pegeen?

Dziewkan nie wytrzymała i rozplakała się.

– Za późno, za późno – łkała.

Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale nie dopytywał. Szlochała z twarzą w dłoniach, gdy on tymczasem odwrócił się i, z bronią u boku, wszedł z powrotem do domu tylnymi drzwiami, wmawiając sobie, że nic z tego, co Louise mówiła o Pegeen – czy to teraz przed domem, czy wczoraj przez telefon – nie jest godne potraktowania serio.

Gdy wieczorem zatelefonował do Pegeen, nawet nie wspomniał o wydarzeniach minionego popołudnia, nie mówił też nic, kiedy Pegeen przyjechała do niego na weekend – chociaż uprawiając z nią seks, nie mógł się uwolnić od obrazu rudej Walkirii i od fantazji o tym, do czego nie doszło.

3. OSTATNI AKT

Ból kręgosłupa uniemożliwiał mu uprawianie seksu w pozycji nad partnerką, a nawet z boku, więc kładł się na plecach i ona dosiadała go z góry, podpierając się kolanami i dłońmi, żeby nie obciążać za bardzo jego podbrzusza. Początkowo kompletnie się gubiła w czynnościach, tak że musiał sterować nią oburącz.

– Nie wiem, jak to się robi – wyznała ze wstydem.

– Wsiadłaś na konia – odpowiedział. – Ujeżdżaj go.

Kiedy wsunął kciuk w jej odbyt, westchnęła z rozkoszy i szepnęła:

– Nikt mi tam jeszcze nigdy nic nie wsadził.

– Nie do wiary – odszepnęła; a potem, gdy w to samo miejsce wszedł członkiem, nie miała dość, póki nie osiągnęła granic wytrzymałości.

– Bolało? – spytał.

– Bolało, ale to jesteś ty.

Po stosunku często brała w rękę jego członek i przyglądała się, jak słabnie erekcja.

– Co tak kontemplujesz? – zaciekał się.

– On mnie wypełnia bez reszty – odpowiedziała. – Atrapa ani palec tego nie potrafią. Jest żywy. To żywa istota.

Szybko opanowała sztukę ujeżdżania konia i już niebawem, unosząc się nad nim i opadając, zażądała:

– Uderz mnie.

A gdy to zrobił, spytała z przekąsem:

– To było najmocniej, jak potrafisz?

– Masz czerwony policzek.

– Mocniej.

– Jak chcesz, ale dlaczego?

– Bo ci pozwalam. Bo to boli. Bo czuję się wtedy jak mała dziewczynka i jak dziwka. No, uderz. Mocniej.

W któryś weekend przywiozła plastikową torbę zabawek erotycznych i rozsypała je po pościeli, gdy szykowali się do łóżka. Axler widział w życiu niejedną atrapę penisa, ale po raz pierwszy zobaczył skórzaną uprząż służącą do mocowania sztucznego penisa na ciele kobiety, która chce spółkować z drugą. Sam poprosił Pegeen o przywiezienie tych zabawek, a teraz obserwował, jak wciąga ona uprząż od dołu i mocuje wokół bioder niczym pas. Wyglądała jak rewolwerowiec szykujący się do akcji, rewolwerowiec z klasą. Na koniec wpięła zieloną atrapę penisa w otwór uprząży, który znajdował się na wysokości jej łechtaczki. Stała przy łóżku, ubrana tylko w to.

– Pokaż swojego – zażądała.

Ściągnął bokserki i rzucił je pod łóżko, gdy ona tymczasem namaściła atrapę penisa oliwką dla niemowląt i zaczęła się masturbować jak facet.

– Wygląda jak autentyczny – skomentował z podziwem.

– Chcesz, to cię nim zerżnę – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

– Nie zrobię ci krzywdy – obiecała przymilnym półgłosem. – Będę bardzo delikatna.

– Nie wyglądasz w tym zbyt delikatnie.

– Nie daj się zwieść pozorom. No, pozwól mi – nalegała ze śmiechem. – Spodoba ci się, zobaczysz. Nowe wrażenia.

– T o b i e się spodoba – poprawił. – Nie, nie, wołałbym, żebyś mi obciągnęła.

– Ale z kutasikiem – zastrzegła.

– Dobrze.

– Z moim wielkim, grubym, zielonym kutasem.

– Właśnie tak bym chciał.

– Ja ci będę obciążać z moim wielkim, grubym, zielonym kutasem, a ty będziesz pieścił moje cycki.

– Brzmi nieźle.

– A jak już ci obciągnę, to ty mi też obciążniesz. Obciążniesz mi wielkiego zielonego kutasa.

– Mogę to zrobić.

– Aha, więc t o możesz zrobić – powiedziała. – Dziwne masz granice możliwości. W każdym razie

powiem ci, że musisz być zdrowo zboczony, skoro cię kręci taka dziewczyna jak ja.

– Może i jestem zboczony, ale uważam, że już nie kwalifikujesz się jako „taka dziewczyna”.

– Nie wiesz czasem.

– Nie z tą fryzurą za dwieście dolarów. Nie w tych ciuchach. Nie, odkąd matka kupuje sobie takie same modne buty, jak twoje.

Jej dłoń przez cały czas miarowo pompowała atrapę penisa.

– Naprawdę myślisz, że przez dziesięć miesięcy wypieprzyłeś ze mnie lesbijkę?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że w dalszym ciągu sypiasz z kobietami?

Onanizowała się bez słowa.

– Czy tak, Pegeen?

Uniosła wolną dłoń, wystawiając dwa palce.

– Co to ma znaczyć?

– Dwa razy.

– Z Louise?

– Zwariowałaś chyba.

– Więc z kim?

Zarumieniła się.

– Dwie drużyny dziewczęce grały w softball na boisku przy drodze, którą jechałam na uczelnię. Zatrzymałam się, wysiadłam i stanęłam przy bandzie. – Po krótkiej pauzie dodała: – Po meczu miotaczka, blondynka z końskim ogonem, pojechała ze mną do domu.

– A za drugim razem?

– Druga miotaczka z blond końskim ogonem.

– W takim razie sporo zawodniczek czeka jeszcze na swoją kolejkę – powiedział.

– Nie planowałam tego – odrzekła, nie przestając pieścić zielonego penisa.

– Może lepiej by było, Pegeen Mike – przemówił z irlandzkim akcentem, którego nie używał, odkąd przestał grać w *Playboyu zachodniego świata* – żebyś mnie następnym razem uprzedziła. Chociaż lepiej, żeby nie było następnego razu – dodał, wiedząc doskonale, że nie ma żadnej władzy, aby pozostać przy niej i zatrzymać ją tylko dla siebie, wiedząc, jak żałośnie śmieszne było od początku jego płomienne uczucie, i na siłę skrywając tę wiedzę pod prząsnym językiem.

– Mówię ci przecież, że to było nieplanowane.

Co powiedziawszy, czy to wskutek nagłego požądania, czy z chęci uciszenia Axlera, schyliła się i wzięła w usta jego członek, on zaś, jak zahipnotyzowany, patrzył jej w oczy, i bezradne przekonanie, że cały ten romans to szalona mrzonka, bo historii Pegeen zmienić się nie da, bo Pegeen jest dla niego nieosiągalna, a on ściąga sobie tylko na głowę nowe nieszczęście, zaczęło go opuszczać. Dziwaczność tej sytuacji zniechęciłaby niejednego. Ale właśnie ta dziwaczność była podniecająca. Towarzyszył jej zaś paraliżujący lęk – paraliżujący lęk przed powrotem

do stanu kompletnego zera. Lęk, że on, Axler, może stać się drugą Louise: rozgoryczonym, oszalałym, mściwym ekskochankiem.

Ojciec Pegeen, który przyjechał spotkać się z nią w Nowym Jorku w najbliższą sobotę po odwiedzinach matki, tylko dolał oliwy do ognia. Asa podjął wątek niebezpiecznych związków dokładnie w miejscu, w którym przerwała go Carol, czyli – pomijając budzący obawy wiek Simona Axlera – skupił się na jego budzącym obawy zdrowiu psychicznym. Axler nie zmienił jednak strategii, która nakazywała: wysłuchaj wszystkiego spokojnie i nie krytykuj rodziców Pegeen, dopóki ona sama im nie ulega.

„Matka miała słuszność: świetnie ci w tej fryzurze” – relacjonowała Pegeen słowa ojca. „Co do stroju, też nie przesadziła ani trochę”. „Tak uważasz?” – spytała Pegeen. „Ładnie wyglądam?” „Rewelacyjnie” – zapewnił ją ojciec. „Ładniej niż przedtem?” „Inaczej. Całkiem inaczej”. „Czy wyglądam bardziej jak córka, którą chciałbyś mieć?” „Bez wątplenia emanujesz teraz aurą, jakiej jeszcze nigdy nie miałaś. Ale opowiedz mi wreszcie o Simonie”. „Po ciężkich przejściach w Centrum Kennedy’ego wylądował w szpitalu psychiatrycznym. O tym właśnie chcesz rozmawiać?” „Owszem” – przyznał. „Wszyscy, tato, miewamy od czasu do czasu poważne pro-

blemy”. „Wszyscy miewamy poważne problemy, ale nie wszyscy lądujemy w szpitalach psychiatrycznych”. „A skoro już mowa o Simonie, to co sądzisz o dzielącej nas różnicy wieku? Nie masz ochoty mnie o nią zapytać?” „Zapytam cię, jeśli pozwolisz, o coś innego: czy uległaś magii gwiazdy, Pegeen? Wiesz, że zdarzają się osobowości wytwarzające wokół siebie potężne pole siłowe, taki jakby krąg magnetyczny? W jego przypadku ta moc bierze się z gwiazdorstwa. Czy zatem uległaś magii gwiazdy?” Roześmiała się. „Może na samym początku. Zapewniam cię jednak, że w tej chwili on jest już tylko sobą”. „Wolno wiedzieć, jak poważnie jesteście związani?” – zapytał. „Nie rozmawiamy o tych sprawach”. „Więc może powinnaś porozmawiać o nich ze mną. Czy masz zamiar wyjść za niego, Pegeen?” „Nie wydaje mi się, żeby on był zainteresowany małżeństwem z kimkolwiek”. „A ty?” „Dlaczego traktujesz mnie, jakbym miała dwanaście lat?” „Bo jest całkiem prawdopodobne, że w sprawach związanych z mężczyznami jesteś raczej dwunastolatką niż czterdziestolatką. Posłuchaj mnie: Simon Axler to intrygujący aktor, a dla kobiety prawdopodobnie również intrygujący mężczyzna. Ale ma tyle lat, ile ma, a ty też masz tyle lat, ile masz. On ma za sobą swoje życie, z triumfalnymi wzlotami i katastrofalnymi upadkami, a ty masz swoje. A ponieważ te jego upadki poważnie mnie niepokoją, nie zamierzam, w przeciwi-

stwie do ciebie, ich bagatelizować. Nie dam ci słowa, że w tej sytuacji nie użyję wobec ciebie żadnej presji. Wprost przeciwnie: użyję”.

Dotrzymał słowa – w odróżnieniu od matki nie zakończył odwiedzin wspólnymi z córką zakupami, za to zaczął do niej telefonować codziennie wieczorem, około kolacji, aby w zdecydowanym tonie kontynuować rozmowę podjętą przy lunchu w Nowym Jorku. Rzadko rozmawiali krócej niż godzinę.

W łóżku, nazajutrz po spotkaniu Pegeen z ojcem w Nowym Jorku, Axler rzekł do niej:

– Chcę, żebyś wiedziała, Pegeen, że zdumiewa mnie całe to zamieszanie z twoimi rodzicami. Nie rozumiem roli, jaką odgrywają oni w naszym obecnym życiu. Rola ta wydaje mi się jednak przesadnie duża i, powiem szczerze, z lekka absurdalna. Z drugiej jednak strony, rozumiem, że na każdym etapie życia są w człowieku tajemnice, także te dotyczące jego związków z rodzicami, nieraz wielce osobliwych. Biorąc to wszystko pod uwagę, mam propozycję: polecę do Michigan i porozmawiam z twoim ojcem. Polecę do Michigan, usiądę z nim i wysłucham wszystkiego, co ma do powiedzenia, a gdy wyłoży swoje argumenty przeciwko mnie, nie będę się z nim spierał – przeciwnie, stanę po jego stronie. Powiem mu, że wszystkie zastrzeżenia, jakie wysuwa pod moim adresem, są słuszne i ja się z nimi zgadzam – nasz związek jest, patrząc z boku, niewyda-

rzony i bez wątpienia pociąga za sobą różne formy ryzyka. A jednak faktem jest, że jego córka i ja darzymy się uczuciem. I to, że my troje, on, Carol i ja, byliśmy przyjaciółmi za czasów naszej nowojorskiej młodości, nie ma tu absolutnie nic do rzeczy. Tylko do takiej obrony ucieknę się, Pegeen, jeżeli zgodzisz się na mój wyjazd. Wszystko zależy od ciebie. Pojadę jeszcze w tym tygodniu, jeśli chcesz.

– Wystarczy, że on przyjechał tutaj do mnie – odpowiedziała. – Nie ma potrzeby ciągnąć tej sprawy dalej. Zwłaszcza że, jak niedwuznacznie podkreśliłeś, uważasz, że już teraz zaszła ona za daleko.

– Nie jestem przekonany, czy masz rację. Lepiej się zmierzyć z rozwścieczonym ojcem, niż...

– Kiedy mój ojciec wcale nie jest rozwścieczony, wściekanie się nie leży w jego naturze, więc nie ma potrzeby prowokować sceny, której bynajmniej nie ma w scenariuszu.

Och, pomyślał Axler, scena jak najbardziej jest w scenariuszu, te dwa miejsca, które trzymasz dla rodziców, są wyraźnie eksponowane. Ale głośno powiedział tylko:

– Okej. To była tylko moja propozycja. Decyzja należy do ciebie.

Ale czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście nie powinien unieszkodliwić sytuacji, przeciwstawiając się rodzicom Pegeen, zamiast pozostawiać rzeczy własnemu biegowi? Zacznijmy od tego, że powinien był

towarzyszyć jej w ostatnim wyjeździe do Nowego Jorku – powinien był wymusić swoją obecność przy rozmowie z Asą. Pomimo zapewnienia Pegeen, Axler nie chciał rozstawać się z pomysłem, że Asa jest rozwścieczonym ojcem, któremu należy stawić czoła, a nie ustępować. *Uległaś magii gwiazdy?* Jasne, takimi kategoriami myśli ktoś, kto nigdy nie zagrał większej roli. Uważa, że to sława Axlera ukradła mu jedynaczkę – sława, jakiej on sam nigdy się nie dochrapał.

Dopiero w środku następnego tygodnia wpadł mu w ręce piątkowy numer lokalnej gazety, z doniesieniem na pierwszej stronie o morderstwie popełnionym w zamożnym miasteczku satelitarnym, jakieś dwadzieścia pięć mil od jego domu. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, znany chirurg plastyczny, został zastrzelony przez żonę, z którą żył w separacji. Tą żoną była Sybil Van Buren.

Z relacji wynikało, że nie mieszkali już razem. Żona przyjechała samochodem od siebie, z drugiego końca miasta, i strzeliła do męża dwukrotnie, gdy tylko otworzył jej drzwi – trafiając w klatkę piersiową i zabijając go na miejscu. Narzędzie zbrodni porzuciła na progu, po czym wsiadła do swojego auta, poczekała na przyjazd policji i została zabrana na posterunek do aresztu. Wyjeżdżając rano z domu, zamówiła na cały dzień opiekunkę dla dwojga swoich dzieci.

Axler zadzwonił do Pegeen, żeby przekazać jej tę wieść.

– Spodziewałaś się po niej czegoś takiego? – spytała Pegeen.

– Po takiej bezbronnej osobce? Skądże. Nigdy w życiu. Motyw miała, molestowanie seksualne córki, ale żeby tak zaraz morderstwo? Mnie pytała, czy nie zabiłbym go na jej zamówienie. Pamiętam jej słowa: „Szukam kogoś, kto zabije tego złego człowieka”.

– Wstrząsająca historia – podsumowała Pegeen.

– To taka delikatna kobieta, drobnutka jak dziecko. Ostatnia osoba, po której można by się spodziewać agresji.

– Uniewinnią ją – orzekła Pegeen.

– Uniewinnią albo i nie. Może będzie się broniła chwilową niepoczytalnością. Tylko co z nią zrobią w takiej sytuacji? I co będzie z tą małą? Biedactwo, już się nacierpiała z powodu zachowania ojczyma, a teraz spada na nią dodatkowy cios w postaci zbrodni matki. No i jest jeszcze chłopczyk, szkoda słów.

– Chciałbyś, żebym do ciebie przyjechała dziś wieczorem? Wydajesz mi się roztrzęsiony.

– Nie, nie. Nic mi nie jest. Tylko jak dotąd nie znałem osobiście nikogo, kto by zabił człowieka poza sceną.

– Jednak przyjadę, trochę później – powiedziała Pegeen.

Gdy przyjechała, usiedli po kolacji w salonie i

Axler powtórzył jej ze szczegółami wszystko, co zapamiętał ze swoich rozmów z Sybil Van Buren w szpitalu. Odnalazł jej list – list, który przyszedł do niego przez biuro agenta – i dał go Pegeen do przeczytania.

– Jej mąż upierał się, że jest niewinny – powiedział. – Że Sybil cierpi na przywidzenia.

– A cierpiała?

– Mnie się tak nie wydawało. Widziałem, że się męczy. Wierzyłem jej słowom.

W ciągu dnia zdążył wielokrotnie przeczytać artykuł w gazecie, za każdym razem wpatrując się w zamieszczone obok zdjęcie Sybil – pozowany portret, na którym nie wyglądała wcale na trzydziestoletnią mężatkę, a co dopiero na Klitajmnestrę, tylko raczej na licealistkę-cheerleaderkę, której jeszcze nic się w życiu nie przydarzyło.

Następnego dnia zadzwonił do informacji telefonicznej i bez najmniejszego trudu uzyskał numer Sybil Van Buren. Telefon odebrała kobieta, która przedstawiła się jako siostra Sybil. Axler wyjaśnił, kim jest, i wspomniał o liście od Sybil. Odczytał go głośno. Wspólnie z siostrą Sybil ustalili, że przekażą list adwokatowi oskarżonej.

– Może się pani z nią widywać? – spytał Axler.

– Tylko w obecności adwokata. Sybil popłakuje, że nie może zobaczyć dzieci. Poza tym jest przeraźliwie wręcz spokojna.

– Czy mówi o morderstwie?

– Powtarza tylko: „Trzeba było to zrobić”. Można by pomyśleć, że to było jej pięćdziesiąte, a nie pierwsze, zabójstwo. Jest w bardzo dziwnym stanie ducha. Jakby nie czuła powagi sytuacji. Jakby zrzuciła z siebie cały balast.

– To chwilowy nastrój – rzekł Axler.

– I ja tak przypuszczam. Przyjdzie jeszcze wielkie załamanie. Ona nie wytrzyma długo za tą maską spokoju. Jej celną jest na pewno pod obserwacją ze względu na ryzyko samobójstwa. Boję się myśleć, do czego jeszcze może dojść.

– Rozumiem panią. To, co się stało, nie pasuje mi zupełnie do kobiety, którą poznałem. Dlaczego zdecydowała się na ten drastyczny krok po tak długim czasie?

– Ponieważ John, nawet gdy już się od nich wyprowadził, dalej rozgłaszał, że niczemu nie jest winien, a ona ma przywidzenia. To doprowadzało Sybil do szału. Rankiem tego dnia, kiedy się do niego wybierała, powiedziała mi, że go zmusi do powiedzenia prawdy, wszelkimi metodami. Radziłam jej: „Nie jedź tam. To cię tylko wytrąci z równowagi”. No i miałam rację. Namawiałam ją, żeby złożyła na niego formalną skargę w sądzie. Żeby prawnymi metodami wsadziła go za kratki. Nie chciała słuchać; mówiła, że to on jest znaną osobą, że sprawa dostanie się do gazet, do telewizji, że Alison zostanie wciągnięta w koszmarny sądowy

i narażona na dalsze koszmarne przeżycia. Właśnie dlatego, że tak mówiła, nie przeszło mi nawet przez myśl, że „wszelkimi metodami” może oznaczać użycie strzelby myśliwskiej – przecież zabójstwo z użyciem jego strzelby myśliwskiej jak najbardziej miało szanse dostać się do gazet. No ale jak tam pojechała w sobotę rano, to nawet nie czekała, aż John wpuści ją do domu. Nie dała mu powiedzieć ani słowa. Nie doszło między nimi do kłótni, podczas której ona straciłaby panowanie nad sobą i strzeliła. Wystarczyło, że na niego spojrzała, gdy stanął w drzwiach – natychmiast nacisnęła dwa razy spust i położyła go trupem na miejscu. Do mnie powiedziała potem: „Prosił się o jatkę, to dostał jatkę”.

– Mała wie?

– Na razie nikt jej nie powiedział. To nie będzie takie łatwe. Nieboszczyk Van Buren już się o to dobrze postarał. Nawet nie umiem sobie wyobrazić cierpienia, jakie przypadnie w udziale Alison.

Jeszcze przez wiele dni powtarzał sobie Axler te słowa: „cierpienie, jakie przypadnie w udziale Alison”. Właśnie ta myśl skłoniła zapewne Sybil do zamordowania męża – a tym samym do nieskończonego pogłębienia cierpień Alison.

Którejś nocy, w łóżku, Pegeen powiedziała mu:

– Znalazłam dla ciebie dziewczynę. Z drużyny

pływackiej Prescott. Spotykam ją popołudniami na basenie. Ma na imię Lara. Chcesz, żebym ci tu przywiozła Larę?

Cpadała i unosiła się nad nim miarowo, a wszystkie światła w pokoju były pogaszone i tylko z okna sączył się nikły blask pełni księżyca, przeświecającej przez gałęzie wysokich drzew na tyłach domu.

– Opowiedz mi o Larze.

– Spodoba ci się, zobaczysz.

– Widzę, że tobie już się podoba.

– Przyglądam jej się w wodzie. I w przebieralni. Dziana panienka. Widać, że rozpieszczona. Taka, co trudów życia nie zaznała ani przez minutę. Uroda modelki. Blondynka. Jasnoniebieskie oczy. Długie nogi. Mocne nogi. Biust idealny.

– Co znaczy: idealny?

– Nie umiesz słuchać spokojnie opowieści o Larze, co?

– Proszę o konkrety.

– Ona ma dziewiętnaście lat. Jej piersi są twarde i sterczące. Goli cipkę, tylko po bokach zostawia wąskie paski jasnych włosów.

– Kto ją rżnie? Chłopaki czy dziewczyny?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale ktokolwiek to jest, na pewno bardzo sobie chwali.

Od tamtej pory Lara towarzyszyła im w łóżku, kiedy tylko mieli na to ochotę.

– Rzniesz ją. To jest idealnie przepiękna cipka Lary.

– Ty też ją teraz rzniesz?

– Nie, tylko ty. Zamknij oczy. Chcesz, żeby Lara doprowadziła cię do orgazmu? Ona, Lara? No to już, ty mała blond kurewko, zafunduj mu orgazm! – krzyczała Pegeen, której Axler już nie musiał uczyć, jak się ujeżdża konia. – Tryskaj na nią! No, już! Teraz! Tak, tak dobrze, tryśnij jej prosto w twarz!

Któregoś wieczoru wybrali się do pobliskiej gospody na kolację. Z okien sali o rustykalnym wystroju mieli widok na rozpłomienione zachodem słońca jezioro po drugiej stronie szosy. Pegeen włożyła najnowsze rzeczy – tydzień wcześniej znów wzięła ich nagła chęć pobuszowania po sklepach w Nowym Jorku: małą obcisłą czarną spódniczkę, czerwony kaszmirowy bezrękawnik i taki sam blezer, zarzucony na plecy i związany rękawami pod szyją, gładkie czarne pończochy, torbę na ramię z miękkiej skóry, obszytą skórzanymi frędzlami, i czarne czółenka z wydłużonymi noskami, o głębokim wycięciu, podkreślającym podbicie stopy. Wyglądała subtelnie, wdzięcznie i apetycznie, cała w czerwieni od góry i czerni od pasa w dół, a poruszała się z taką niewymuszoną swobodą, jakby ubierała się w tym stylu całe swoje życie. Torbę – zgodnie z sugestią ekspedientki w sklepie – nosiła przewieszoną na ukos przez pierś, nisko na biodrze.

Aby zapobiec sztywnieniu kręgosłupa i drętwieniu nogi, Axler przyjął zwyczaj przechadzania się dwa lub trzy razy w trakcie posiłku – dlatego też po daniu głównym, a przed deserem, wstał od stołu i ruszył na drugi już spacer przez salę restauracyjną i hol, aż do baru. Tam spostrzegł atrakcyjną młodą kobietę, samotnie sączącą drinka. Wyglądała na dwadzieścia parę lat, a sposób, w jaki rozmawiała z kelnerem, zdradzał, że jest już lekko wstawiona. Axler uśmiechnął się, gdy odwróciła ku niemu głowę, a chcąc przedłużyć miły moment, spytał kelnera o wynik meczu futbolowego. Potem, jakby nigdy nic, zagadnął dziewczynę, czy mieszka w okolicy, czy wynajmuje pokój w gospodzie. Odpowiedziała, że od niedawna pracuje w pobliskim sklepie z antykami i po godzinach wpadła do gospody na drinka. Zapytał ją, czy zna się na antykach, na co odpowiedziała, że jej rodzice prowadzą sklep tej branży w innej części stanu. Ona sama trzy lata przepracowała w antykwariacie w Greenwich Village, ale zapragnęła wyrwać się z miasta i popробować szczęścia w hrabstwie Washington. Spytał ją, od jak dawna tam przebywa, i dowiedział się, że od miesiąca. Potem zapytał, co pije, a uzyskawszy odpowiedź, oznajmił:

– Stawiam następną kolejkę.

I gestem polecił barmanowi dopisać cenę drinka do jego rachunku.

Przy deserze oznajmił Pegeen:

- W barze siedzi jedna dziewczyna i upija się.
 - Jak wygląda?
 - Jak ktoś, kto sam sobą rządzi.
 - Masz ochotę?
 - To zależy, czy ty masz.
 - Na ile lat ją oceniasz?
 - Powiedziałbym: dwadzieścia osiem. Inicjatywę oddaję tobie. Tobie i zielonemu kutasowi.
 - O, nie. To będzie twoja rola. Twoja i prawdziwego kutasa.
 - Więc rozegramy to oboje – zaproponował.
 - Najpierw chcę ją zobaczyć.
- Axler zapłacił, wyszli z sali restauracyjnej i zatrzymali się w drzwiach baru. Axler stał za Pegeen, obejmując ją od tyłu. Poczł, jak zadrżała z podniecenia na widok dziewczyny pijącej przy kontuarze. Jej drzenie podnieciło go. Miał wrażenie, że złączyli się w jedno opętane chucią zwierzę.
- Podoba ci się? – spytał szeptem.
 - Wygląda na taką, co potrafi nieźle poświntuszyć, jak jej dać szansę. Na skłonną do występku.
 - Chcesz wziąć ją do domu.
 - Nie jest to Lara, ale można wytrzymać.
 - A jak obrzyga nam samochód?
 - Zanosi się na to?
 - Sączy tak już dłuższy czas. Jakby jej się film urwał u nas w domu, to co z nią zrobimy?
 - Zamordujemy ją – powiedziała Pegeen.

Nie wypuszczając Pegeen z objęć, Axler zawołał do dziewczyny:

- Hej tam, panienko! Może cię podrzucić do domu?
- Jestem Tracy.
- Podrzucić cię do domu, Tracy?
- Mam swój samochód – odpowiedziała.
- A jesteś w stanie się za kierownicą? Mogę cię podwieźć pod same drzwi.

Pegeen drżała w objęciach Axlera. Jest jak kociąca polująca na mysz, pomyślał, jak sokół, zanim zerwie się do lotu z ręki sokolnika. Zwierzę, nad którym można panować, dopóki nie wyrwie się na wolność. Pomyślał: daję jej tę Tracy w prezencie, tak jak nowe ciuchy. Wobec Lary oboje czuli się odważni, bo żadnej Lary w istocie nie było, więc nie było też konsekwencji. Tym razem miało być inaczej, wiedział to. Przemknęła mu przez głowę myśl, że całą władzę oddał w ręce Pegeen.

- Mogę zadzwonić po męża, żeby mnie stąd zabrał – powiedziała Tracy.

Axler już wcześniej zauważył, że nie nosi obrączki.

- Daj spokój, my cię odwieziemy. Powiedz tylko, dokąd.

Tracy wymieniła nazwę miasteczka, oddalonego o dwanaście mil na zachód.

Barman, który wiedział, że do Axlera jedzie się dokładnie w drugą stronę, spokojnie robił swoje, jak-

by był głuchoniemy. Dzięki rolom filmowym znali Axlera właściwie wszyscy w tej mieścinie liczącej dziewięćset dusz, chociaż mało kto wiedział, że swoją renomę zawdzięcza on wieloletnim występom na scenie. Odurzona alkoholem młoda kobieta zapłaciła rachunek, zsunęła się ze stołka, złapała kurtkę i skierowała się do wyjścia. Była wyższa, niż się Axlerowi zrazu wydało, i potężniejsza – dzikuska, owszem, ale na pewno nie nimfetka: krzepka, rosła blondynka w typie nordyckiej piękności. W pewnym sensie nieco prząsna i pospolita wersja posągowej Louise.

Umieścił Tracy na tylnym siedzeniu z Pegeen i ciemnymi, pustymi drogami pojechał do domu. Przypominało to porwanie. Pośpiech Pegeen w działaniu wcale Axlera nie zdziwił. Nie krępował jej ani wstyd, ani lęk – odwrotnie niż u fryzjera – i odgłosy dobiegające z tyłu już teraz działały na Axlera podniecająco. W sypialni, gdy dojechali do domu, Pegeen wysypała na łóżko całą zawartość swojej torby przyborów erotycznych, włącznie z tym, co nosi nazwę „kot o dziewięciu ogonach”, a jest pejczem zakończonym miękkimi, cienkimi, czarnymi rzemieńnikami, bez supłów.

Axlera ciekawiło, co sobie myśli Tracy. Wsiadła do auta z dwojgiem ludzi, których nigdy wcześniej nie widziała na oczy, zajechała z nimi do domu na

głębokim odludziu i bez wstępów została wciągnięta w erotyczny trójkąt. Może i była pijana, ale przede wszystkim była młoda. Czy odważy się podjąć ryzyko? Czy Pegeen i ja budzimy zaufanie? – zastanawiał się. A może Tracy właśnie szuka ryzyka? A może jest tak pijana, że zgodzi się na wszystko? Ciekaw był, czy już kiedyś coś takiego robiła. No i dlaczego robi to właśnie teraz, z nimi. W głowie się przecież nie mieściło, że Tracy wpadła im w ręce tylko po to, żeby urzeczywistnić wszystkie ich najdziksze łóżkowe fantazje związane z Larą. A właściwie – czemu nie? Bo czy mieści się w głowie to, że on, Axler, utracił zdolność gry aktorskiej? Że trafił do szpitala wariatów? Że wdał się w romans z lesbijką, którą poznał jako oseska ssącego pierś matki?

Gdy mężczyzna zabawia się z dwiema kobietami, nierzadko bywa tak, że jedna z nich poczuje się zaniedbana i usunie się, popłakując, w kącie pokoju. Tym razem jednak wyglądało na to, że tym, kto wyładuje w kącie, będzie Axler. Mimo to, obserwując kobiety z drugiego końca łóżka, nie czuł się rozgoryczony. Sam wyznaczył Pegeen rolę prowodyrki w tej zabawie i nie zamierzał się narzucać, dopóki nie zostanie zawołany. Na razie chciał tylko patrzeć. Pegeen wciągnęła na biodra skórzaną uprząż, pozapiłała pasy i zamocowała zieloną atrapę organu pod kątem prostym. Potem kucnęła okrakiem nad Tracy, muskając ustami jej usta i sutki, a jednocześnie zsu-

wajac się po jej ciele coraz niżej, aż wniknęła w nią delikatnie sztucznym penisem. Nie musiała otwierać jej siłą. Nie musiała nic mówić – Axler odniósł wrażenie, że gdyby któraś z tych dwóch kobiet przemówiła, to usłyszałby język nieznany sobie. Zielony członek zanurzał się i wynurzał rytmicznie z rozpostartego na pościeli obfitego, nagiego ciała – najpierw powoli, potem coraz szybciej i gwałtowniej, jeszcze gwałtowniej, a krzywizny ciała Tracy falowały w ten sam rytm. To nie było soft porno. To już nie były dwie nagie kobiety, pieszczące się i całujące na łóżku. Ten swoisty gwałt kobiety na kobiecie, w pokoju pełnym cieni, miał w sobie coś prymitywnego, pierwotnego, jakby Pegeen była magicznym połączeniem szamanki, akrobatki i zwierzęcia. Na genitaliach nosiła maskę, dziwną maskę totemiczną, dzięki której stała się tym, kim nie była i być nie powinna. Równie dobrze mogła być teraz krukiem albo kojotem, nie przestając być Pegeen Mike. Było w tym coś niebezpiecznego. Serce Axlera biło jak oszalałe z podniecenia, gdy patrzył na to z boku, niczym bożek Pan, zachłannym, pożądliwym wzrokiem.

A jednak Pegeen odezwała się po angielsku, gdy legła wreszcie na plecach u boku Tracy, przeczesując jej długie włosy czarnym „kotem o dziewięciu ogonach” i po dziecięcemu odślaniając w uśmiechu dwa górne przednie zęby.

– Twoja kolej – powiedziała cicho. – Zerznij ją.

Ujęła Tracy za ramię i szepnęła do niej:

– Czas zmienić pana.

Po czym łagodnie przeturlała duże, obce ciało na jego stronę łóżka.

– Troje dzieci skrzyknęło się i urządziło teatrzyk – powiedział Axler i rozpoczął swój występ.

Około północy odwieźli Tracy z powrotem na parking przed gospodą, gdzie zostawiła swój samochód.

– Często się tak zabawiacie? – spytała, pólżąc na tylnym siedzeniu, w ramionach Pegeen.

– Nie – odpowiedziała jej Pegeen. – A ty?

– Pierwszy raz w życiu.

– No i jak było? – spytała Pegeen.

– Nie wiem. Mam mętlik w głowie. Czuję się, jakbym nie była sobą. Jak po narkotykach.

– Skąd wzięłaś na to odwagę? – spytała Pegeen. – Alkohol pomógł?

– Twój strój. Twój wygląd. Uznałam, że nie mam się czego obawiać. Powiedz mi, czy on to jest ten aktor? – spytała Pegeen, jakby Axlera wcale nie było w samochodzie.

– Ten sam – przytaknęła Pegeen.

– Barman tak mówił. Ty też jesteś aktorką?

– Od przypadku do przypadku – odrzekła Pegeen.

– To było wariactwo – powiedziała Tracy.

– To prawda – przyznała Pegeen, władczyni „kota

o dziewięciu ogonach”, koneserka sztucznych peniśców, która bynajmniej nie była w tych sprawach debiutantką i lubiła ekstremalne działania.

Tracy ucałowała ją namiętnie na do widzenia. Pegeen odwzajemniła namiętny pocałunek, zmierzwiła dziewczynie włosy, ścisnęła jej piersi, i przylgnęły do siebie na moment na parkingu przed gospodą, gdzie się wszyscy troje spotkali. Potem Tracy wsiadła do swojego wozu, ale zanim ruszyła, Axler usłyszał głos Pegeen:

– Do zobaczenia wkrótce.

Jechał do domu z ręką Pegeen w swoim rozporoku.

– Ten zapach – powiedziała. – Cali jesteśmy nim przesiąknięci.

Axler tymczasem myślał: przeliczyłem się, nie pomyślałem dobrze, co robię. Już nie był bożkiem Panem. O nie.

Czekając, aż Pegeen skończy brać prysznic, usiadł w kuchni z filiżanką herbaty, jakby nigdy nic, jakby spędził kolejny normalny wieczór w domu. Herbata, filiżanka, spodek, cukier, mleko – wszystko to spełniało zapotrzebowanie na trzeźwą rzeczywistość.

– Chcę mieć dziecko. – Wyobraził sobie, że Pegeen mówi te słowa. Wypowiada je, wchodząc do kuchni po prysznicu. „Chcę mieć dziecko”. Wyobraził sobie najmniej prawdopodobną scenę, jaka mogła się zdarzyć – i dlatego właśnie ją sobie wyobrażał:

aby z powrotem wtłoczyć swą niewczesną zuchwałość w domowe pielesze.

– Z kim? – pytał ją w swojej fantazji.

– Z tobą. Jesteś miłością mojego życia.

– Jak słusznie przestrzegli cię rodzice, zbliżam się do siedemdziesiątki. Gdy nasze dziecko skończy dziesięć lat, ja będę miał siedemdziesiąt pięć. Siedemdziesiąt sześć. I być może przestanę już być miłością twojego życia, może wyląduję na wózku inwalidzkim z tym moim kręgosłupem, jeśli w ogóle dożyję tego wieku.

– Nie przejmuj się moimi rodzicami – powiedziała w jego fantazji. – Chcę, żebyś został ojcem mojego dziecka.

– I zamierzasz zataić ten fakt przed Asą i Carol?

– Daj spokój. To już zamknięta sprawa. Miałeś rację. Louise tym telefonem oddała mi przysługę. Rodzice muszą jakoś pogodzić się z sytuacją.

– A skąd ten nagły pociąg do macierzyństwa?

– Stąd, że dla ciebie stałam się tym, kim jestem.

Wyobraził sobie, że odpowiada na to:

– Kto by się spodziewał, że ten dzień tak się zakończy?

– To nic dziwnego – brzmiała w jego fantazji replika Pegeen. – To logiczne następstwo faktów. Jeżeli mamy pozostać razem, to mam trzy życzenia. Po pierwsze, poddasz się operacji kręgosłupa. Po drugie, wrócisz na scenę. Po trzecie, zapłodnisz mnie.

– Dużo żądasz.

– A kto mnie nauczył dużo żądać? – odrzekła w jego wyobraźni. – To moja propozycja na prawdziwe życie. Co więcej mogę ci ofiarować?

– Operacja kręgosłupa to spore ryzyko. Lekarze, z którymi się konsultowałem, twierdzą, że w moim przypadku nic nie da.

– Nie możesz przecież wiecznie żyć z tym bólem. Nie możesz stale kuśtykać.

– A powrót na scenę to jeszcze większe ryzyko.

– Nic podobnego – odparła w jego fantazji Pegeen. – To tylko kwestia wcielenia w życie sensownego planu przełamywania lęku. Planu śmiałego i długofalowego.

– Uważasz, że taki plan wystarczy.

– Oczywiście. Najwyższy czas podejść do siebie odważnie.

– A mnie się zdaje, że przyszedł raczej czas na ostrożne obchodzenie się z sobą.

Ponieważ jednak w jej towarzystwie czuł się odmłodzony, ponieważ uczynił wszystko, by uwierzyć, że ta, która mu na początek podała szklankę wody – aby na koniec dojść do szczytowego wyczynu seksu we troje – istotnie może go uczynić trwale szczęśliwym, snuł myśli jak najbardziej przepełnione nadzieją. W swojej kuchennej fantazji o nowym życiu wyobraził sobie, że idzie do chirurga, który posyła go na rezonans magnetyczny i przedoperacyjną mielo-

grafię, a potem bierze na stół. On tymczasem kontaktuje się z Jerryem Oppenheimem i mówi mu, że gdyby była dla niego jakaś rola, to proszę bardzo, bo wraca do pracy. Dalej, wciąż siedząc przy kuchennym stole i napawając się fantazjami w oczekiwaniu na wyjście Pegeen spod prysznic, wyobraził sobie, że Pegeen rodzi zdrowe dziecko, i to w tym samym miesiącu, w którym jego nazwisko jako odtwórcy roli Jamesa Tyrone’a trafia na afisze Guthrie Theater. Wystarczy odnaleźć wizytówkę Vincenta Danielsa, którą wetknął jako zakładkę w *Zmierzch długiego dnia*. Wybierze się do Vincenta Danielsa z tekstem sztuki i będą pracowali we dwóch, tak długo, aż on wreszcie odzyska zaufanie do siebie, tak że kiedy stanie na scenie podczas premierowego spektaklu w Guthrie, cała dawna magia aktorstwa powróci i słowa będą płynąć z jego ust tak naturalnie, tak swobodnie, że w połowie spektaklu Axler poczuje, iż nigdy jeszcze nie był równie dobry, więc może ta przewlekła niemoc zawodowa, jakkolwiek bolesna, jednak się na coś zdała. Publiczność wierzy mu w każdej sekundzie. W tym miejscu tekstu, którego dawniej bał się jak ognia – bo kwestia miała zabrzmieć spontanicznie i nonszalancko, a on czuł się w niej, jakby nagle został goły, bez żadnych środków aktorskich – z powrotem włączał się jego niezawodny instynkt i żadne środki nie były już potrzebne. Pechowy okres minął. Skończyła się samobójcza udręka. Wróciła pewność

siebie, pierzchły żale, lęki, i wszystkie utracone rzeczy znów znalazły się na swoich miejscach. Od czegoś trzeba zacząć rekonstrukcję życia – on zaczął od zakochania się w Pegeen Stapleford, najwłaściwszej kobiecie do spełnienia misji ratunkowej.

W tej chwili wydawało mu się, że kuchenny scenariusz wcale nie jest płochą mrzonką, jaką był z początku, lecz całkiem trzeźwym obrazem pewnej możliwości, restytucją woli walki o utraconą radość życia. Axler czuł w sobie dawną determinację z dnia, w którym stawił się był w Nowym Jorku na pierwsze przesłuchanie. Wtedy miał dwadzieścia dwa lata.

Następnego dnia rano, gdy tylko Pegeen wyjechała z powrotem do Vermontu, zatelefonował do szpitala w Nowym Jorku i spytał, z którym doktorem najlepiej będzie się skonsultować w kwestii ryzyka spłodzenia dziecka przez sześćdziesięcioletniego mężczyznę. Został połączony z gabinetem specjalisty i wyznaczono mu wizytę na przyszły tydzień. Pegeen nic o tym nie powiedział.

Szpital mieścił się na dalekich peryferiach miasta. Zostawiwszy samochód na podziemnym parkingu, Axler, coraz bardziej rozemocjonowany, udał się na górę do gabinetu. Wypełnił zwyczajowe formularze i został przyjęty przez trzydziestopięcioletniego na oko Filipińczyka, który przedstawił się jako asystent

pani doktor Wan. Do poczekalni przylegał pokój z oknem i tam właśnie asystent zaprosił Axlera, aby mogli porozmawiać na osobności. Był to najwyraźniej pokój przeznaczony dla dzieci, gdyż stały w nim małe stoliki i krzeselka, a do jednej ściany przypinane były dziecięce rysunki. Panowie usiedli przy jednym ze stoliczków i asystent zaczął wypytywać Axlera o jego osobistą i rodzinną historię zdrowia, o choroby, na jakie cierpieli i zmarli jego najbliżsi krewni. Odpowiedzi odnotowywał na arkuszu z wydrukowanym schematem drzewa genealogicznego. Axler mówił mu wszystko, co wiedział, sięgając do najdalszej znanej sobie rodzinnej przeszłości. Asystent sięgnął następnie po drugi arkusz i zaczął zadawać analogiczne pytania o rodzinę przyszłej matki. Axler potrafił mu powiedzieć tylko tyle, że oboje rodzice Pegeen żyją; nie wiedział nic o stanie ich zdrowia, ani obecnym, ani przeszłym, a tym bardziej o stanie zdrowia ciotek, wujów, dziadków i pradiadków Pegeen. Asystent poprosił go więc tylko o informację, z jakiego kraju wywodzi się rodzina Pegeen – o jego kraj pochodzenia zapytał już wcześniej – i, zanotowawszy odpowiedź, oznajmił, że przekaże teraz wszystkie dane pani doktor Wan, naradzi się z nią pokrótce, a potem pani doktor wyjdzie do Axlera i porozmawia z nim.

Pozostawiony sam w dzieciennym pokoju, Axler wpadł w euforię, uszczęśliwiony powrotem się i swo-

body bycia – koniec z upokorzeniem, koniec z odcięciem od świata! To już nie była czcza mrzonka: rewitalizacja Simona Axlera zaczęła się naprawdę. I symptomatyczne, że zaczęła się właśnie w tym pokoju, pełnym dziecięcych mebelków. Skala umeblowania przywiodła mu na myśl sesje terapii zajęciowej w szpitalu Hammertona, podczas których jemu i Sybil Van Buren dawano kredki i papier, i kazano rysować obrazki, oceniane następnie przez psychologa. Pamiętał, jak posłusznie siedział i kolorował, całkiem jak kiedyś w przedszkolu. Przypomniał mu się koszmarne rezultaty pobytu w szpitalu: kompletny zanik pewności siebie – tym, pamiętał, co go ratowało przed dojmującym poczuciem porażki i lęku, były podsłuchiwanie w świetlicy rozmowy tych pacjentów, których nadal fascynowały własne próby samobójcze. Ale teraz było inaczej – teraz Axler był olbrzymem, ledwo mieszczącym się w tych dzieciennych mebelkach, był z powrotem sobą-aktorem, świadomym dotychczasowych osiągnięć i przekonany, że oto życie rozpoczyna się na nowo.

Doktor Wan, która okazała się drobną, szczupłą młodą kobietą, oznajmiła mu, że do pełnego obrazu brakuje jej, rzecz jasna, wywiadu chorobowego Pegeen, lecz już na podstawie tego, czym dysponuje, może uśmierzyć jego obawy dotyczące wad wrodzo-

nych u dzieci ojców w podeszłym wieku. Jakkolwiek, podkreśliła, optymalny wiek płodności dla mężczyzny wypada między dwudziestką a trzydziestką i jakkolwiek ryzyko przekazania dziecku chorób genetycznych oraz takich wad rozwojowych jak autyzm wzrasta znacznie u mężczyzn po czterdziestce, jakkolwiek wreszcie starsi mężczyźni wydzielają więcej spermy z uszkodzonym DNA niż młodszy, to szansa na spłodzenie zdrowego potomka przez mężczyznę w jego wieku i przy jego stanie zdrowia, wcale nie jest znikoma, zwłaszcza że niektóre, choć nie wszystkie, wady wrodzone dają się wykryć podczas ciąży.

– Komórki jąder odpowiedzialne za powstawanie spermy dzielą się co szesnaście dni – tłumaczyła Axlerowi doktor Wan, siedząc naprzeciw niego przy dzieciennym stoliku. – To oznacza, że u pięćdziesięciolatka podzieliły się około ośmiuset razy. A z każdym kolejnym podziałem wzrasta ryzyko błędów w DNA zawartym w spermie.

Teraz trzeba tylko, żeby Pegeen dostarczyła swoją połowę dossier, a wówczas doktor Wan, mając pełniejszy obraz sytuacji, chętnie weźmie ich oboje pod opiekę, jeżeli zdecydują się na dalsze postępowanie. Wręczyła Axlerowi swoją wizytówkę, wraz z wyczerpującą broszurą o przyczynach i ryzyku wad wrodzonych. Dodała jeszcze, że w jego wieku płodność może być osłabiona, w związku z czym – to już na życzenie samego Axlera – wypisała mu skierowanie

do laboratorium na badanie spermy. Przynajmniej będzie wiadomo, czy należy się spodziewać kłopotów z zapłodnieniem.

– Problemem – wyjaśniła doktor Wan – może być niedobór plemników, ich niedostateczna ruchliwość lub morfologia.

– Rozumiem – rzekł Axler, a chcąc wyrazić swoją bezbrzeżną wdzięczność, wyciągnął rękę, aby uścisnąć dłoń lekarki.

Ta uśmiechnęła się, jakby to ona z nich dwojga była starsza, i powiedziała:

– Gdyby miał pan pytania, proszę do mnie za-telefonować.

Wróciwszy do domu, Axler z trudem pohamował chęć, by natychmiast zadzwonić do Pegeen, powiadomić ją o wspaniałym pomysle, który nim zawładnął, i pochwalić się, jakie już poczynił kroki w kierunku jego realizacji. Ale nie: rozmowa o tym musiała poczekać aż do weekendu, gdy znów będą razem. Nocą w łóżku Axler studiował broszurę, którą mu dała doktor Wan. „Zdrowa sperma oznacza zdrowego noworodka... Dwa do trzech procent dzieci rodzi się z poważnymi wadami... Przeszło dwadzieścia rzadkich, lecz bardzo poważnych zaburzeń genetycznych ma związek z podeszłym wiekiem ojców... Im starszy jest mężczyzna w momencie zapłodnienia, tym większe ryzyko poronienia u jego partnerki... Ojcowie w podeszłym wieku są bardziej zagrożeni

spłodzeniem dziecka dotkniętego autyzmem, schizofrenią lub zespołem Downa...” Skończył, przeczytał jeszcze raz od początku do końca, ale nawet teraz, gdy nieco otrzeźwiał i poznał ewentualne ryzyko, nie rezygnował z powziętego planu. Przeciwnie: nie mogąc zasnąć z emocji i czując, że dzieje się coś niezwykłego, znalazł się, sam nie wiedząc jak i kiedy, w salonie i, dodatkowo ożywiony muzyką, delektował się poczuciem nieustraszonego, jakiego nie zaznał od lat, oraz głębokim, biologicznym pragnieniem dziecka, jakie potocznie kojarzone jest raczej z kobietą niż z mężczyzną. W jego związku z Pegeen nic już nie wydawało się niemożliwe. Pegeen będzie musiała z nim pójść do doktor Wan. A gdy każde z nich zyska pełny obraz sytuacji, we dwoje trzeźwo i rozsądnie podejmą następny krok.

Zaplanował sobie, że zacznie rozmowę w piątek po kolacji. Ale Pegeen przyjechała późnym popołudniem i zaraz zamknęła się w swoim pokoju, żeby oceniać stos prac egzaminacyjnych – został więc sam do przygotowywania kolacji. A po jedzeniu Pegeen wróciła do oceniania prac. Niech zrobi, co ma do zrobienia, pomyślał. Na rozmowę mamy cały weekend.

Po ciemku w łóżku – dwa tygodnie, co do dnia, po ekscesach z Tracy – na jego pocałunki i pieszczoty Pegeen odpowiedziała:

– Jakoś dzisiaj nie mam do tego serca.

– W porządku – odrzekł i nie mogąc jej pobudzić,

przeturlał się na swoją stronę łóżka, nie wypuszczając jednak jej dłoni ze swojej ręki (tej ręki, która ciągle chciała dotykać wszystkiego), dopóki Pegeen nie zasnęła. Kiedy się ocknął w środku nocy, naszło go pytanie: Co miały znaczyć jej słowa o tym, że nie ma do tego serca? Dlaczego od chwili przyjazdu tak od niego stroni?

Odpowiedź dostał zaraz z samego rana, zanim zdążył napomknąć o swojej wizycie u doktor Wan, o istocie tej wizyty i związanej z nią świetlanej perspektywie dla nich dwojga; wreszcie dotarło do niego, że konsultując się z doktor Wan, wcale nie wykazał się rozsądkiem mężczyzny zasięgającego wiedzy, aby uniknąć pochopnego popełnienia głupstwa, tylko przeciwnie – zapuścił się jeszcze głębiej w nierezeczywistość.

– To koniec – oznajmiła przy śniadaniu Pegeen. Siedzieli w kuchni naprzeciwko siebie, na tych samych miejscach, na których przed paroma miesiącami on słuchał, a ona mu mówiła, że już podjęli ryzyko wspólnego życia.

– Koniec czego? – nie zrozumiał.

– Tego.

– Ale dla czego?

– To nie jest to, czego chcę. Pomyliłam się.

I tak zaczął się koniec, ni stąd, ni zowąd – koniec, który znalazł swój finał pół godziny później, z Pegeen stojącą w drzwiach z wypchanym workiem, i

Axlerem tonącym we łzach. Była to antyteza oczekiwań, jakie Axler żywił w tejże samej kuchni dwa tygodnie wcześniej. Antyteza nadziei, z jaką stawił się u doktor Wan. Pegeen zamknęła mu dostęp do wszystkiego, czego pragnął!

Teraz już i ona płakała; okazało się, że to nie taka prosta sprawa, jak się zrazu wydawało. Ale nie odwołała swojej decyzji, szlochała bez słowa. Jej postać w drzwiach, znów w czerwonej chłopięcej kurtce na suwak, z parcianym workiem marynarskim w ręku, mówiła sama za siebie: ten rodzaj bólu był dla niej do zniesienia. Ani myślała usiąść z powrotem w kuchni, napić się kawy i odbyć z Axlerem rozmowę od serca, po której wszystko będzie tak jak dawniej. Chciała się tylko od niego uwolnić i zaspokoić jakże ludzkie w końcu pragnienie zmiany i nowości.

– Nie możesz tak wszystkiego przekreślić! – krzyknął gniewnie, a na to Pegeen, silniejsza wszak z nich dwojga, otworzyła drzwi.

W końcu, szlochając, jednak przemówiła:

– Próbowałam być dla ciebie ideałem.

– Co ty wygadujesz, do cholery? Czy ja kiedykolwiek żądałem ideału? „Nie odsuwaj się ode mnie. To cudowne, co się dzieje, nie chcę, żeby się skończyło”. Jak idiota, uwierzyłem twoim słowom. Jak idiota, wmówiłem sobie, że robisz to, czego chcesz.

– Bo chciałam. Bardzo chciałam się przekonać, czy potrafię.

– A więc to był eksperyment, od początku do końca. Jedna z wielu przygód Pegeen Mike, nie gorsza ani lepsza niż poderwanie zawodniczki z boiska.

– Nie mogę już dłużej służyć ci za substytut kariery aktorskiej.

– Och, tylko nie zaczynaj na ten temat! To nie-smaczne!

– Kiedy to prawda! Miałaś mnie w zamian za teatr! Jako rekompensatę!

– To najbardziej groteskowe oskarżenie, jakie w życiu usłyszałem. I sama doskonale o tym wiesz. Idź już, Pegeen! Jeżeli to ma być twój odwet, to już idź! „Zaryzykowaliśmy” – powiedziałaś na początku. Nie: to ja zaryzykowałem! Ty jedynie mówiłaś to, co, jak ci się zdawało, ja chcę usłyszeć, po to, żeby dostawać wszystko, na co masz ochotę, dopóki miałaś ochotę.

– Nic podobnego! – krzyknęła z płaczem.

– To Tracy, tak?

– Nie rozumiem.

– Rzucasz mnie dla Tracy!

– Wcale nie, Simon! Wcale nie!

– No, przecież nie porzucasz mnie dlatego, że jestem bezrobotny! Zostawiasz mnie dla tej dziewczyny! Jedziesz teraz prosto do niej!

– Dokąd jędę, to moja sprawa. Och, daj mi już wyjść!

– A kto cię trzyma? Na pewno nie ja! Jeszcze cze-

go! – Wskazał palcem jej worek, wypchany nowymi ubraniami, które jeszcze tak niedawno wisały w jego szafach i leżały poskładane w jego szufladach.

– Nie zapomniałaś zabawek z sex shopu? Nie zostawiłaś upręży?

Nic się na to nie odezwała, ale w jej oczach mignął błysk nienawiści, tak to przynajmniej Axler odczytał.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Zabierz przybory swojego fachu i wynoś się. Twoi rodzice będą odtąd mogli spać spokojnie: już nie zadajesz się ze starym facetem. Nikt już nie stoi między tobą a twoim ojcem. Pozbyłaś się balastu. Skończą się wymówki rodziców. Wracasz bezpiecznie do stanu wyjściowego. To świetnie. Idź, poszukaj sobie nowej ofiary. Ja tak czy owak zawsze byłem dla ciebie za słaby.

Życie mężczyzny jest całe zastawione pułapkami, a Pegeen była dla niego tą ostatnią. Rzucił się łakomie i połknął przynętę, jak najłatwiejsza zwierzy-
na świata. To się nie mogło skończyć inaczej, a jednak on odkrył tę prawdę jako ostatni. Nieprawdopodobne? Przeciwnie – łatwe do przewidzenia. Że rzuciła go po tak długim czasie? Widocznie dla niej ten czas nie był aż taki długi, jak dla niego. Cały jej urok nagle prysł – w momencie, gdy wyrzekła słowa „To koniec”, on znalazł się na dnie zamaskowanej pułapki, sam jak palec, wyzuty z chęci do życia.

Odjechała swoim samochodem, a w niespełna pięć

minut później dokonało się kompletne załamanie Axlera – załamanie po upadku, któremu sam był winien i z którego nie sposób było się podnieść.

Poszedł na strych i przesiedział tam cały dzień oraz sporą część nocy, na zmianę to przymierzając się do naciśnięcia spustu strzelby, to zrywając się do telefonu, żeby dzwonić po nocy do Oppenheima, albo do swojego dawnego lekarza w szpitalu Hammertona, albo pod dziewięćset jedenaście.

Co najmniej dziesięć razy miał ochotę wykręcić numer Lansing i wygarnąć Asie, że jest skończonym skurwysynem, bo zbuntował Pegeen przeciwko niemu. Był przekonany, że właśnie tak się stało. Pegeen dobrze wiedziała, co robi, gdy chciała zataić ich romans przed rodzicami. „Bo tak długo się znacie. Bo jesteście w jednym wieku” – tłumaczyła, kiedy pytał ją o przyczynę tej skrytości. Kto wie, czy gdyby jednak wybrał się do Michigan od razu na początku, tak jak chciał i jak proponował Pegeen, nie miałby jakiejś szansy na wygraną. Ale dzwonienie do Asy teraz nic już nie mogło dać. Pegeen odeszła. Odeszła do Tracy. Odeszła do Lary. Odeszła do zawodniczki z końskim ogonem. Gdziekolwiek teraz była, on już nie musi martwić się o ryzyko genetyczne związane z ojcostwem mężczyzny, którego komórki jądrowe mają już za sobą dobrze ponad osiemset podziałów.

Pod wieczór nie wytrzymał i zszedł na dół, ze strzelbą w garści, żeby jednak zadzwonić.

Telefon odebrała Carol.

– Mówi Simon Axler.

– Ach tak, no tak. Cześć, Simon.

– Daj mi Asę.

Głos mu drżał, a serce biło w przyspieszonym tempie. Musiał przysiąc do dalszej rozmowy na kuchennym krześle. Podobnie czuł się w Waszyngtonie, kiedy ostatni raz wyszedł na scenę, żeby grać. A przecież mogło w ogóle nie dojść do obecnej sytuacji, gdyby nie mściwy telefon Louise Renner do Staplefordów, z doniesieniem o tym, z kim romanuje ich córka.

– Wszystko w porządku? – spytała Carol.

– Nie całkiem. Pegeen mnie rzuciła. Daj mi pogadać z Asą.

– Asa jeszcze nie wrócił z teatru. Spróbuj go złapać w garderobie.

– Daj mi go w tej chwili do telefonu!

– Przecież ci tłumaczę, że jeszcze go nie ma.

– Fantastyczna wiadomość, no nie? Co za ulga! Już nie musicie się zamartwiać, że wasza córka niańczy faceta stojącego nad grobem. Koniec z niepokojem, że została dozorczynią wariata i pielęgniarką inwalidy. Ale przecież nie mówię ci tu żadnej rewelacji – przecież wyście usilnie zabiegali o to, co się stało.

– Poważnie mówisz, że Pegeen cię opuściła?

– Daj mi Asę do telefonu.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Carol ze spokojną godnością (od której on był jak najdalszy) oznajmiła:

– Radzę ci, spróbuj złapać Asę w garderobie. Podać ci numer, zadzwoń tam.

Nie miał pojęcia, nawet kiedy już trzymał słuchawkę w ręku, czy robi słusznie, czy niesłusznie; czy okazuje słabość, czy też siłę. Położył strzelbę na kuchennym stole, wykręcił numer podany mu przez Carol, po czym rozłączył się bez słowa. Gdyby mu dano taką rolę do odegrania w teatrze – co zrobiłby teraz? Jak poprowadziłby rozmowę przez telefon? Głosem drżącym czy zdecydowanym? Dowcipnie, sarkastycznie, z nienawiścią czy ze złością? Nie miał dużo większego pojęcia o tym, jak zagrać podstarzałego kochanka porzuconego przez o dwadzieścia pięć lat od niego młodszą kochankę, niż o tym, jak zagrać Makbeta. Czy nie powinien był raczej strzelić sobie w łeb, gdy miał Carol na drugim końcu linii, żeby usłyszała? Czy nie takie rozebranie roli byłoby najlepsze?

Mógł przestać, oczywiście. Mógł w tej chwili poniechać szaleństwa. I tak przecież nie odzyska Pegeen, dzwoniąc do Asy – a jednak zadzwonił. Nie próbował odzyskać Pegeen. To było niemożliwe. Ale nie mógł dać się tak głupio ograć zadufanemu drugo-

rzednemu aktorzyńie i jego żonie, drugorzędnej aktorce, z prowincjonalnego teatrzyku w jakiejś dziurze. Nie udało się Staplefordom zaistnieć na scenie w Nowym Jorku, nie udało im się zahaczyć w branży filmowej w Kalifornii, więc pokazują swój kunszt dramatyczny z dala od skorumpowanego, komercyjnego świata. O nie, on się nie da pokonać takim miernotom. Nie zachowa się jak chłopię zbesztane przez rodziców panny.

Sygnał rozległ się tylko raz, zanim Asa odebrał telefon.

– Wytłumacz mi, co ci to dało, że ją do mnie zniechęciłeś? – zaatakował z miejsca Axler, cedząc słowa przez zęby. – Najpierw nie mogłeś znieść tego, że jest lesbijką. Wiem to od niej; podobno ani ty, ani Carol nie mogliście się z tym pogodzić. Byliście oburzeni jej deklaracją. No to ci powiem, że przy mnie ona się tego całkowicie wyzbyła, otwarła się na nowe życie i była szczęśliwa! Nigdy nie widziałeś nas razem. Pegeen i ja byliśmy szczęśliwi! Ale ty, zamiast być mi za to wdzięcznym, podjudziłeś ją, żeby mnie zostawiła! Z dwojga złego wolałeś już, żeby była lesbijką! Dlaczego? Dlaczego? Wytłumacz mi to, proszę.

– Po pierwsze, Simon, uspokój się. Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich tyrad.

– Czy ty masz do mnie od początku jakąś anse? Czy to jest zawiść, Asa, a może zemsta, może zazdrość? Jaką krzywdę ja jej wyrzodziłem? Mam sześć-

dziesiąt sześć lat, nie pracuję, kręgosłup mi nawala – i gdzie w tym horror? Gdzie zagrożenie, które rzekomo stanowiłem dla twojej córki? Czy ja z tych powodów czegokolwiek jej odmówiłem? Dałem Pegeen wszystko, co tylko mogłem! Starałem się ją zadowolić pod każdym względem!

– Nie wątpię. Sama Pegeen przyznała to w rozmowie z Carol i ze mną. Nikt nie ma do ciebie pretensji o to, że byłeś hojny.

– Ty już wiesz, że ona mnie zostawiła.

– Wiem.

– Wiedziałeś przed moim telefonem?

– Nie.

– Nie wierzę ci, Asa.

– Pegeen robi to, co chce. Zawsze tak było.

– Pegeen zrobiła to, co ty chciałeś!

– Mam prawo jako ojciec troszczyć się o córkę i udzielać jej rad. Uchybiałbym swoim obowiązkom, gdybym tego nie robił.

– Jak mogłeś „udzielać jej rad”, nie mając pojęcia o tym, co jest między nami? W głowie miałeś jedynie jakąś wizję mnie, z moją sławą, moją karierą, wiecznie kradnącego sukces, który powinien być twój! To nie było według ciebie fair, co, przyznaj się, Asa, że dostała mi się także Pegeen?

Czy ostatniej kwestii nie lepiej było jednak wygłosić komicznie, zamiast ze złością? Albo z cichym sarkazmem, jakby z rozmysłem przesadzał, a nie mó-

wił szczerze, co ma na myśli? Och, graj, jak chcesz, zirytował się w duchu sam na siebie. Pewnie i tak, mimo woli, grasz komicznie.

Nienawidził swoich łez, ale już z powrotem płakał, płakał ze wstydu, poczucia straty i wściekłości, wszystkiego razem – więc odłożył słuchawkę, przerywając rozmowę z Asą, której, po pierwsze, w ogóle nie powinien był zaczynać. Bo to przecież on sam był w gruncie rzeczy winien temu, co się stało. Owszem, chciał zadowolić Pegeen pod każdym względem, i właśnie w tym celu, jak idiota, wprowadził do ich życia Tracy, wszystko psując. Ale skąd mógł wiedzieć? Tracy była rekwizytem zabawy w seks, jaką mnóstwo par uprawia dla odmiany lub rozrywki. Skąd on, Axler, miał wiedzieć, że przypadkowo poderwana w barze panienka na dobre zerwie jego relację z Pegeen? Czy ktoś inteligentniejszy od niego by to przewidział? Czy może jest to raczej dalszy ciąg pecha, prześladowającego go od czasu ról Prospera i Makbeta? Czy to zwykła głupota, czy też dalsze wkopywanie się w ostateczny dół?

Kim właściwie była ta Tracy? Ekspedientką z prowincjonalnego sklepu z antykami. Dziewczyną upijającą się samotnie w wiejskiej gospodzie. Czy mogła się z nim równać? Żadną miarą! Więc jakim cudem pokonała go jakaś Tracy? Jakim cudem pokonał go Asa? Czy Pegeen rzuciła go dla Tracy, chcąc podświadomie wrócić jako mała dziewczynka w ob-

jęcia tatusia? A jeśli nie dla Tracy go rzuciła? Jeśli uczyniła to tylko z powodu obiekcji rodziców? Co ją nagle do niego zraziło? Czemu stał się dla niej nagle nietykalny?

Zataszczył strzelbę do pokoju Pegeen, gdzie długo stał i wpatrywał się w ściany, ogołoczone przez nią z wiktoriańskich tapet i pomalowane na odcień brzoskwiniowy. Ten pokój Pegeen uczyniła swoim, do czego on, Axler, sam ją zachęcił. Powściągnął chęć oddania strzału w tył oparcia jej krzesła przy biurku – zamiast strzelić, usiadł na nim. Dopiero teraz zauważył, że z regału obok biurka zniknęły wszystkie książki, które Pegeen poprzywoziła z domu. Kiedy zdążyła opróżnić półki? Jak dawna była jej decyzja o opuszczeniu go? Może datowała się od samego początku, już od czasu zdzierania tapet ze ścian?

Opanował kolejny impuls oddania strzału, tym razem w regał. W zamian pogładził półki, które przez pewien czas gościły jej książki, i bezskutecznie próbował wymyślić, co mógł przez te wszystkie miesiące uczynić inaczej, tak żeby chciała z nim pozostać.

Po co najmniej godzinie doszedł do wniosku, że nie chce zostać znaleziony martwy w pokoju Pegeen, na jej krześle. To nie Pegeen była winowajczynią. Zawinił on i obłąkańcza biografia, której był produktem.

Kiedy, długo po telefonie do Asy, około północy – już od paru godzin siedząc z powrotem na strychu – wciąż nie umiał się zdobyć na naciśnięcie spustu strzelby, chociaż trzymał już w ustach koniec lufy, zmusił się do przywołania na pamięć filigranowej postaci Sybil Van Buren, konwencjonalnej żony i matki, która ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilo, a mimo to doprowadziła swój zamysł do końca: wzięła na siebie obmierzłą rolę morderczyni i wywiązała się z niej jak należy. Skoro ona, pomyślał, znalazła w sobie dość siły, aby w tak makabryczny sposób unieszkodliwić męża, który stał się jej demonem, to ja mogę zrobić to samo przynajmniej ze sobą. Wyobraził sobie zimną niewzruszoność, jakiej wymagała realizacja brutalnego planu Sybil Van Buren, obejmującego szaleńczy akt pozostawienia w domu dwojga małych dzieci, samotną jazdę samochodem pod dom byłego męża, wejście po schodach, naciśnięcie dzwonka, wycelowanie strzelby i, w momencie otwarcia drzwi, natychmiastowe, dwukrotne naciśnięcie spustu – jeżeli ona mogła, to ja też!

Sybil Van Buren jawiła mu się jako wzór odwagi. W kółko powtarzał sobie inspirujące wezwanie do czynu, tak jakby parę słów miało moc zdopingowania go do popełnienia skrajnej nedorzeczności – *Jeżeli ona mogła, to ja też; jeżeli ona mogła...* – aż wreszcie wpadł na pomysł, żeby udąć, iż odgrywa scenę samobójstwa na scenie. W sztuce Czechowa. Cóż bardziej stosow-

nego? Tym sposobem powróci do aktorstwa i – przy całej swojej śmieszności i nędzy jako trzynastomiesięcznej pomyłki kapryśnej lesbijki – uczyni wszystko, by sprostać roli. Aby po raz ostatni w swoim życiu urealnić fikcję, musiał sobie wyobrazić, że strych to teatr, a on jest Konstantym Gawryłowiczem Trieplewem w końcowej scenie *Mewy*. Kiedy jako dwudziestoparolatek i geniusz sceniczny osiągnął już w teatrze wszystko, czego pragnął, zagrał tę właśnie Czechowowską rolę – ambitnego młodego pisarza, który po niepowodzeniach w pracy i miłości popada w kompletną frustrację. Spektakl przygotowany przez Actors Studio szedł na Broadwayu i stał się pierwszym wielkim nowojorskim sukcesem Axlera, którego uznano za najbardziej obiecującego młodego aktora sezonu, o znakomitym warsztacie i wielkiej indywidualności, przed którym wszystko stoi otworem.

Jeżeli ona mogła, to ja też.

Przy jego ciele, znalezionym po paru dniach na podłodze strychu przez sprzątaczkę, leżała odręczna notatka złożona z ośmiu słów: „Rzecz w tym, że Konstanty Gawryłowicz zastrzelił się”. Tak brzmiała ostatnia kwestia w sztuce *Mewa*. Tak zakończył swój spektakl słynny aktor, podziwiany niegdyś za siłę scenicznego wyrazu – aktor, na którego przedstawienia w teatrze swego czasu ściągały tłumy.

SPIS TREŚCI

1. W nicość	7
2. Przemiana	46
3. Ostatni akt	89

K o n i e c

